ROK ZAŁOŻENIA 1933

kamena

LUBLIN 12.IV.1981 NR 8 (728) DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY PL ISSN 0137-7108 CENA 3 ZŁ

Michał Fijałka przyjmujący z rąk gen. Sikorskiego Krzyż Virtuti Militari (20.VIII.1942)

ROZMOWA Z MICHAŁEM FIJAŁKĄ

DWUDZIESTA SIÓDMA WOŁYŃSKA

ZYGMUNT MAŃKOWSKI: — Znamy się już od wielu lat, od czasu, gdy pomagał pan mi w zrekonstruowaniu dziejów Armii Krajowej na Ziemi Lubelskiej, w tym szczególnie działań 27 Dywizji. Nad czym pan obecnie pracuje? Czym pan obecnie żyje? — pytam Michała Fijałkę, kapitana rezerwy, byłego dowódcę I Batalionu 50 Pułku Piechoty 27 Wołyńskiej Dywizji Piechoty Armii Krajowej.

Michał Fijałka: — Jestem teraz na emeryturze i cały posiadany czas poświęcam odtworzeniu dziejów tej Dywizji. Ostatnio zajmowałem się sporządzaniem bardzo szczegółowych map poświęconych szlakowi bojowemu formacji. 27 Dywizja, jak wiadomo, uformowana została 16 stycznia 1944 roku z wołyńskich oddziałów partyzanckich AK, działających już znacznie wcześniej w rejonie Kowla i Włodzimierza Wołyńskiego, a ściśle we wsiach Zasmyki i Siedliska. Należała ona bez wątpienia do jednej z największych jednostek partyzanckich, jakie w ogóle powstały w polskim ruchu oporu w latach II wojny światowej, w szczytowym momencie licząc ponad 6 tys. żołnierzy. Walczyła na Wołyniu, Polesiu oraz na Lubelszczyźnie. Właśnie jej pięćsetkilometrowy z górą szlak bojowy przedstawiają mapy, na którymi ostatnio tak usilnie pracowałem przy pomocy Zakładu Historii Najnowszej, UMCS, studentów geografii oraz uczniów Liceum Plastycznego w Lublinie. W efekcie powstały trzy duże mapy, ukazujące kolejno operacje dywizji na Wołyniu, Polesiu i Lubelszczyźnie, jeden duży schemat ze strukturą organizacyjną dywizji oraz ponad 20 szkiców odzwierciedlających poszczególne epizody: potyczki, bitwy, większe akcje zbrojne, przebicia się z okrążenia itp. Wszystkie te mapy i szkice po raz pierwszy pokazane zostaną publicznie na sesji naukowej poświęconej dziejom dywizji, a organizowanej przez Instytuty Historii PAN i UMCS w końcu kwietnia w Warszawie.

Z. M.: — Może przedstawi się pan bliżej naszym czytelnikom. Jakie były pana losy w II wojnie światowej?

M. F.: — Wyszedłem ze środowiska wiejskiego, ze wsi Izdebki koło Brzozowa na Podkarpaciu. W 1935 roku uzyskałem świadectwo dojrzałości w Gimnazjum im. Królowej Zofii w Sanoku. Po maturze, nie będąc jeszcze w wieku poborowym, przez rok pracowałem jako robotnik w przemyśle naftowym. W latach 1936—1937 odbyłem służbę wojskową na Kursie Podchorążych Rezerwy przy 22 dywizji w Przemyślu. Później, po ukończeniu kursu rolniczego, otrzymałem pracę instruktora rolnego w Powiatowym Biurze Rolnym w Prze-

Dokończenie na str. 8—9

Trują — nie trują?

Anna Bocian

— Tu JEDNO wielkie cmentarzysko — powiedział nadleśniczy z Puław, Ryszard Plecha. — Nikt nie wynalazł kapelusza, żeby przykryć Zakłady Azotowe. Ludzie idą do lasu, chcą odpocząć, a lasu nie ma. Las spod Puław ucieka, bo sosny i dęby nie wytrzymują ciężeń azotu.

Tlenki azotu, amoniak, pyły saletry, dwutlenki siarki — od piętnastu lat opadają na lasy w okolicach Puław. Gdy pod koniec lat sześćdziesiątych dr Zygmunt Jakubczak z IUNG-u przedstawił swoje spostrzeżenia na międzynarodowym spotkaniu przyrodników — uczestnicy przerazili się, że związki azotu aż tak mogą zdeformować las. Igły sosen dochodziły do długości 30 cm. Anormalna gigantomania igieł stała się złośliwą metaforą niepohamowanego w rozwoju giganta przemysłowego, który z Azotów I rozrósł się wkrótce w Azoty II, chociaż założenia nie przewidywały takiego rozkwitu. Niedługo opadły też pierwsze industrialne zachwyty. Zakłady, budowane jako absolutnie nieszkodliwe dla otoczenia, powoli zaczynały szkodzić. I — o paradoksie — dyrekcja zakładów miała z początku kokieteryjne ambicje, żeby udowadniać swoje szkodnictwo w przyrodzie, a już po roku rzeczywiście musiała prosić o pomoc Instytut Badawczy Leśnictwa, Instytut Zielarski, Instytut Medycyny i Higieny Pracy oraz miejscowy Instytut Upraw, Nawożenia i Gleboznawstwa.

Tymczasem las marniał. Pierwsze padły jałowce. Po nich najszybciej ucierpiały drzewa iglaste. Liściaste, co roku zmieniające szatę, miały więcej szans. Ale i wśród nich trzeba było szukać najodporniejszych, takich jak czeremcha amerykańska, brzoza, bez czarny i koralowy, które przyjmowały się na wylesieniach. Przedstawiciele Zakładów Azotowych mówią, że poszycie leśne przechodzi w ogrodowe. Leśników to nie bawi. Las i tak rósł na ubogich glebach, a kilkadziesiąt studni głębinowych w zakładach obniżyło poziom wód gruntowych jeszcze bardziej poza zasięg korzeni. Lekkie piaszczyste gleby szybko przepuszczają wodę, a z nią azot, który wnika w głąb. Do jakiego stopnia gleba będzie skażona i jakie będą tego skutki?

Nadmiar azotu sprawia, że roślinność nie jest przystosowana do zimy. Mrozy zaskakują drzewa, zanim wyciszy się w nich wegetacja i przygotują się do zimowego snu. Dlatego las straszy suchymi kikutami drzew, a nadleśnictwo zbiera rocznie 7 tys. metrów sześciennych posuszu.

Do tej pory pod Zakłady Azotowe poszło 1200 ha, przeważnie lasu. Z tego obecnie 300 ha stanowi pustynia, z której 63 ha stara się ratować nadleśnictwo, a około 200 ha IUNG wziął pod rekultywację. Taki jest wymierny bilans strat lasu. A niewymierny?

— Że tu powietrze podłe, to już mogę powiedzieć — stwierdził nadleśniczy. — My tu nie będziemy mieć lasu... Chłonność terenu na szkodliwe związki chemiczne dawno została przekroczona, chociaż z poszczególnych

Dokończenie na str. 8—9

Skrócić i wyrzucić

Ireneusz J. Kamiński

12 MARCA na śmietnik posesji Rynek 2 w Lublinie wyrzucono listy od znanych artystów, fotografie adresata i jego znajomych, negatywy reprodukcji obrazów i grafik, katalogi wystaw, wizytówki różnych osób, notatniki prywatne, klepsydry o znaczeniu dokumentu historycznego, paletę metalową, sztywne kołnierzyki, furażerkę, słynną torbę płócienną na dwa metalowe guziczki i takąż sprzączkę — słowem to wszystko, co pozostało jeszcze po Wiktorze Ziółkowskim w jego mieszkaniu we wspomnianym budynku, należącym do lubelskiego rzemiosła. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności w pobliżu pracowali archeolodzy PKZ, którzy na miejsce wypadku wezwali swoich kolegów z Pracowni Dokumentacji Naukowo-Historycznej przedsiębiorstwa, ci zaś przenieśli sponiewierane rzeczy w bezpieczne miejsce, z pewnym zdumieniem stwierdzając, że przypadek podrzucił im dokumenty cenne i nieodzowne dla każdego, kto bada dzieje kultury artystycznej naszego miasta i interesuje się samą postacią Ziółkowskiego — kolekcjonera, inicjatora, krytyka, rysownika, przyjaciela wybitnych malarzy i grafików, a przy tym człowieka o nieprzeciętnej osobowości. To zdumienie wynikało z przeświadczenia, opartego na oficjalnych informacjach, że spuścizna Ziółkowskiego została już znacznie wcześniej zabezpieczona przez specjalną komisję i przekazana do Muzeum Okręgowego, które oddało następnie papiery Bibliotece Wojewódzkiej im. Hieronima Łopacińskiego. Tymczasem śmietnik inną prawdą zapachniał...

Nasza prasa codzienna, która z godnym pochwały pośpiechem zabrała się do sprawy, wyjaśniła, że sprawcą smutnego wypadku jest po części komornik, który nie dysponując fachowym przygotowaniem w dziedzinie historii sztuki, sam dokonał wstępnej selekcji materiałów po panu Wiktorze i wrzucił do kosza to, co nie budziło jego ufności swoją potencjalną wartością finansową. Dowiadujemy się ponadto, że nasi konserwatorzy zabytków — wojewódzki i miejski — nie zatroszczyli się odpowiednio o wiadome wartości, znaj-

Dokończenie na str. 11

z notatnika

26 III. — „Pismo nasze — głosi „Kultura" (nr. 13) — otrzymało Oświadczenie podpisane przez 13 pisarzy łódzkich wyrażające sprzeciw wobec ponownego wyboru J. Wawrzaka na przewodniczącego oddziału ZLP. *Pragniemy zwrócić uwagę* — czytamy w Oświadczeniu — *że wybrany obecnie Zarząd Oddziału w połowie składa się z członków zespołu redakcyjnego „Odgłosy"* (J. Wawrzak jest redaktorem naczelnym tego pisma), *co zapewnia prezesowi Wawrzakowi absolutny dyktat.* Te same nazwiska Komisja Rewizyjna stwierdziła na liście nagród i odznaczeń. Z Oświadczenia wynika, że na znak protestu z Oddziału łódzkiego ZLP wystąpiło 20 pisarzy, przechodząc do Oddziału warszawskiego".

Nie bardzo rozumiem, o co tu właściwie chodzi? Oświadczenie nie mówi przecież, że wybory zostały sfałszowane! Mogę więc domniemywać, że J. Wawrzaka wybrała określona większość. Być może, 13 pisarzy, obecnie protestujących, nie uczestniczyło w głosowaniu, a może nawet nie przybyło na zebranie wyborcze. Kto jest więc winien, że głosowanie przyniosło taki a nie inny wynik? A tych 20 pisarzy łódzkich (Oświadczenie podpisało tylko 13), którzy przeszli do Oddziału warszawskiego, z całą pewnością nie miało już wpływu na skład uprzednio wybranego zarządu tegoż warszawskiego Oddziału!

Każde Oświadczenie można drukować, ale niekiedy należałoby uzupełnić je o redakcyjny komentarz. Do „absolutnego dyktatu" (czy nie przesada?) też można dojść drogą w pełni demokratyczną!

31 III. Wczoraj w Pałacu Rady Ministrów w Warszawie zakończyły się rozmowy między delegacją Krajowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność" pod przewodnictwem Lecha Wałęsy a Komitetem Rady Ministrów do Spraw Związków Zawodowych, któremu przewodniczył wicepremier Mieczysław F. Rakowski. Przedstawiciele KKP NSZZ „Solidarność" postanowili wstrzymać ogłoszony na dziś strajk generalny. Wynikiem wielodniowych rozmów stało się przyjęcie przez obie strony Oświadczenia, określającego płaszczyznę współdziałania rządu i „Solidarności" w celu usunięcia kryzysu społeczno-politycznego.

Cieszę się, że nie będę pisał relacji ze strajku generalnego — tytułuje swoją korespondencję z Warszawy Jan Sadecki, reporter „Gazety Krakowskiej". Na konferencji prasowej w „Interpressie" wypowiada się Lech Wałęsa:

...załatwiliśmy tyle, ile w tym dniu mogliśmy załatwić. W 70—80 proc. odnieśliśmy sukces;

...chciałbym mieć całe życie spokojne, a nie tylko 90 dni, ale mamy tu jeszcze sporo spraw do załatwienia;

...sądzimy, że na KKP zwycięży rozsądek i rozwaga;

...na przyszłość trzeba nauczyć się szybciej zasiadać do wspólnego stołu, w porę reagować;

...nie wszyscy przywódcy bardzo dobrzy w walce i strajkach nadają się do codziennej działalności wymagającej rozwagi i taktyki.

Mieczysław F. Rakowski twierdzi: *Czy to sukces, to dopiero pokaże przyszłość. Jeśli chodzi o stronę rządową, to nie mamy żadnego innego celu, jak doprowadzić do rzeczywiście zgodnej współpracy między organizacjami związkowymi a rządem. Naszym celem jest stworzenie warunków, które zapewnią normalną pracę w Polsce, nie będą tworzyły napięć niepotrzebnych społecznie, nie będą wytwarzały stanu histerii, który już panuje w kraju. Wielu ludzi nie wytrzymuje już tego nacisku. Osiągnięcie porozumienia zależy nie tylko od nas, ale i od drugiej strony. Myślę, że przyszłość odpowie czy wszystkie strony będą przestrzegały tych porozumień, czy związek zawodowy „Solidarność" pozostanie związkiem zawodowym.*

Kilkanaście godzin przedtem, przemawiając nad ranem na IX Plenum KC PZPR Mieczysław F. Rakowski oświadczył:

Bezpośrednią przyczyną kolejnych, niezwykle ostrych faz kryzysu są wydarzenia bydgoskie. [...] Płakać się chce, gdy człowiek pomyśli, że przecież to, co się stało w Bydgoszczy, nie musiało się stać. Ostra reakcja społeczeństwa na wydarzenia bydgoskie wynika, moim zdaniem, z tego, iż cały naród, lub znaczna jego część, uważa, że w Bydgoszczy naruszone zostało prawo, i to nie tylko przez „Solidarność", a prawa w Polsce naruszać nie wolno, w żadnym przypadku. Naruszanie przez nas prawa zachęca naszego politycznego przeciwnika, bo jest nim grupa radykałów działająca w „Solidarności", do stosowania tego samego. Nasi przeciwnicy mogą prawo naruszać, choć nie powinni, ale nam nigdy tego czynić nie wolno.

Ile tych w y d a r z e ń mieliśmy już w kraju? Ile m i e s i ę c y, z którymi coś tam się wiąże? Nerwy ludzkie napięte są do ostatnich granic. Chciałbym też wierzyć, że tylko właśnie te napięte nerwy dyktują prof. dr. hab. Andrzejowi Nowickiemu oznajmienie wszem i wobec na łamach biuletynu informacyjnego KU PZPR UMCS o zamiarze wzięcia udziału w strajku (tym odwołanym wczoraj, ale profesor w chwili wydania swego oświadczenia o tym jeszcze nie wiedział) dlatego, że jest on *skierowany przeciwko hańbiącej Polskę polityce policyjnego bezprawia.* Prof. Nowicki pisze przy tym, że jest w partii od 1948 roku a ma legitymację partyjną o takim to i takim numerze.

Nie słyszałem, aby w latach 1949—1954 towarzysz Nowicki podejmował tego rodzaju formy protestu *w obronie podstawowych wartości socjalizmu, zagrożonych [...] przede wszystkim przez te konserwatywne, antysocjalistyczne i antynarodowe siły w aparacie partyjnym i państwowym...* Przejrzało się po 33 latach? No, ale -w o l n o m y s l i c i e l o w i dziwić się nie należy.

Tymczasem w ostatnią niedzielę odbyło się wspomniane już przeze mnie IX Plenum KC PZPR. W nocy siedziałem przy radiu i co godzinę, od 24-ej do 3-ej rano, wysłuchiwałem głosów dyskusji, głosów bardzo dawkowanych. Później już zmogłem, nastawiłem budzik na 6-tą i usłyszałem komunikat o zakończeniu Plenum. Do południa napływały dalsze wiadomości.

Agencja France Presse skomentowała Plenum: *W Warszawie doszło do zwycięstwa umiarkowanych. Plenum odnowiło zaufanie do Biura Politycznego i Sekretariatu, domagając się równocześnie, by za wszelką cenę doszło do porozumienia z „Solidarnością".*

(Na 3 stronie bieżącego numeru „Kameny" drukujemy artykuł: „Głos Lublina — Jaka powinna być partia". Stanowi on uzupełnienie „Głosu Gdańska" na ten sam temat drukowanego w n-rze poprzednim. Propozycje lubelskiej organizacji partyjnej padły przed IX Plenum KC, ale nie stoją z nim w sprzeczności).

2 IV. Prezydent Ronald Reagan szybko wraca do zdrowia po poniedziałkowym zamachu, dokonanym przez 25-letniego Johna Warnocka Hinckleya. Polepszył się również stan zdrowia pozostałych trzech rannych, w tym i ugodzonego kulą w głowę rzecznika prasowego prezydenta, Jimmy Brady'ego.

Ekipa psychiatrów przeprowadziła pierwsze badania zamachowca. Dużą sensacją są sprawy związane z aktorką Jodie Foster, bowiem znaleziono niewysłany list Hinckleya, w którym stwierdza on, że aby udowodnić jej swą miłość, zabił prezydenta. 18-letnia aktorka, która występowała w filmie „Taksówkarz", wciąż jest nagabywana zarówno przez dziennikarzy jak i przez funkcjonariuszy FBI. Foster mówi, że Hinkley kilkakrotnie przesyłał jej listy i wielokrotnie do niej telefonował. Nie spotkał się z wzajemnością.

Dziennikarze tymczasem twierdzą, że przyczyną nienawiści Hinckleya do Reagana było to, że Foster grała rolę prostytutki w filmie „Taksówkarz", a Reagan miał podobno powiedzieć, że był to bardzo dobry film i tym samym, zdaniem zamachowca, obraził tę aktorkę.

Prasa, zwłaszcza prasa brukowa, całego świata ma nie lada temat. A w samych Stanach Zjednoczonych znów odżywa problem zakupu broni, którą można tu nabywać bez żadnych ograniczeń. Sam Reagan był tym, który sprzeciwiał się jakimkolwiek zakazom. Śmierci uniknął dosłownie cudem.

Dziennikarze powrócili do „fatum roku zerowego". Od 140 lat każden prezydent USA wybrany w roku kończącym się na zero nie dożył do końca swej kadencji. Fatum przypisuje się klątwie rzuconej przed 150 laty przez jednego z wodzów indiańskich.

I tak Harrison, wybrany w 1840 r., zmarł na zapalenie płuc w 1841 r.

Lincoln, wybrany w 1860 r., został zamordowany w czasie swej drugiej kadencji — w 1865 r.

Garfield, wybrany w 1880 r., został postrzelony w 1881 r. i w wyniku tego zmarł po dwóch miesiącach.

McKinley wybrany na drugą kadencję w 1900 r., został zamordowany na wystawie panamerykańskiej w Bufallo.

Harding, wybrany w 1920 r., zmarł nagle w San Francisco w 1920 r.

Roosevelt, wybrany na trzecią kadencję w 1940 r., zmarł w czasie przedłużonej ze względu na wojnę kadencji w 1945 r.

Kennedy, wybrany w 1960 r., zginął od kuli zamachowca w Dallas (sprawa zabójstwa do dzisiaj budzi różne kontrowersje).

Wszyscy czterej zamordowani prezydenci urodzeni byli pod znakiem Wodnika. Wodnik to również znak Reagana!

4 IV. „Argumenty" drukują w odcinkach „Wyznania Tyrańskiego", spisane przez Edmunda Żurka. Tyrański — po wyroku — mówi teraz więcej niż na sali sądowej. Wierzyć albo nie wierzyć — oto jest pytanie. Nie mniej pewne uwagi Tyrańskiego warto przytoczyć. Ostatecznie jego słowa rozpowszechniane są publicznie. Jeśli kłamie, zainteresowani powinni je sprostować. Milczenie będzie traktowane jednoznacznie.

Żurek cytuje mecenasa Władysława Pocieja, który bezskutecznie zapytywał na rozprawie: „Dla kogo oskarżony kupił serwis porcelanowy za pięć tysięcy dolarów? Takich prezentów nie dawało się w dół od stanowiska Tyrańskiego". I dodaje od siebie: „Czy może pan dzisiaj udzielić odpowiedzi na to pytanie?"

Tyrański: „Dla pani redaktor Alicji Solskiej, żony byłego premiera Piotra Jaroszewicza".

Żurek: „Na jaki cel przeznaczył pan dwadzieścia tysięcy dolarów?"

Tyrański: „Spłaciłem dług Andrzeja Jaroszewicza".

Żurek: „W jakich nastąpiło to okolicznościach?"

Tyrański: „Gdy będzie proces Andrzeja Jaroszewicza, inspektorzy zapukają do mojej celi."

Nie wszystkie jednak nazwiska padają w „Argumentach". Tyrański mówi: „Spłacałem długi dyrektorów: Macieja B. i Jerzego W. Inni dwaj dyrektorzy: M. i A. kilka dni i nocy nie opuszczali w Berlinie zachodnim ekskluzywnego domu publicznego, otrzeźwieli dopiero po zobaczeniu rachunku. Zapłaciłem."

Prawo jest równe dla wszystkich. Tyrański, jeśli rzeczywiście spłacał czyjeś długi, spłacał je przecież nie ze swojej kieszeni! Warto poszukać Macieja B., Jerzego W., owych M. i A. Sądzę, że nie będzie to takie trudne. Rozliczenie ryb cienkich i ryb grubych, dokładne i sprawiedliwe, to praktyczny sprawdzian odnowy.

M. A. Jaworski

Na ekspans

Dlaczego płaczą jednorożce?

Popularna teza ekonomii głosi, że nowoczesna gospodarka opierać się musi na planowaniu. Planowanie umożliwia równowagę gospodarczą i optymalizację procesów ekonomicznych w makroskali. Jeden rzut oka wystarcza dla stwierdzenia, że stan równowagi jest nam obcy, a najbardziej wnikliwa analiza nie dostarcza przykładów rozwiązań optymalnych. Skłania to niektórych do zgłaszania postulatów, by kierować gospodarką za pomocą nieco bardziej zacofanych metod.

Zmusza to do zastanowienia się nad planowaniem. Czynności z nim związane podzielić można na: zbieranie i przetwarzanie informacji, formułowanie zadań planu i tworzenie systemu zarządzania. Teoretycznie rzecz biorąc zarządzanie, polegające na przekazywaniu zadań i środków dla wykonawców, ustalaniu mierników ich oceny oraz bodźców ekonomicznych, nie jest częścią planowania. W praktyce jednak przyjęcia określonego modelu zarządzania przesądza o sposobie planowania i jego skuteczności.

Obowiązujący od trzydziestu lat system zarządzania opiera się na: nakazowym rozdziale zadań, odgórnej reglamentacji czynników produkcji i rozliczaniu oraz wynagradzaniu przedsiębiorstwa w zależności od stopnia wykonania planu. Zatrzymajmy się na reglamentacji czynników produkcji i związanej z nią kwestii przekazu informacji od przedsiębiorstw do Centrum.

Rozdział czynników produkcji za pomocą przydziałów i limitów powoduje likwidację cen jako parametrów rachunku ekonomicznego. Ceny nie weryfikowane przez mechanizm rynkowy muszą znacznie odbiegać od wartości. Powoduje to, że rachunek ekonomiczny prowadzony w jednostkach pieniężnych traci sens. Zastępować go trzeba żmudnym bilansowaniem wszystkich wielkości w jednostkach naturalnych. Po jednej stronie zestawiamy w tych bilansach informację płynącą od przedsiębiorstw, ile czego mogą wyprodukować, po drugiej — ich potrzeby. Zawsze okazuje się, że potrzeby gospodarki są większe od możliwości. Nie ma w tym nic dziwnego — producenci są zainteresowani w przydziale jak najwyższych środków i jak najniższych zadań.

Ilustracją tego zjawiska jest rysunek zamieszczony przed kilku laty na okładce „Krokodyla". Duktem leśnym idzie koza z płaczącym jednorożcem, w tle widoczny napis: „Rozdział rogów — zakład nr 112". Koza perswaduje jednorożcowi: „Głupi, gdybyś zamawiał krzy, jak ja, miałbyś w sam raz".

Przekaz informacji i reglamentacja czynników wytwórczych jest zatem rodzajem gry. W grze tej jedna strona oszukuje w licytacji, a druga zagląda w karty.

Uważny czytelnik może stwierdzić, że składanie przesadnych zamówień nie jest niczym nowym i że nie da się na to zwalić winy za brak równowagi. Jest w tej argumentacji dużo racji. Każda gra ekonomiczna, choćby o najbardziej idiotycznych regułach, wytwarza pewien serwomechanizm uniemożliwiający całkowite rozregulowanie gospodarki. Dzieje się to tak długo, aż w grze nie pojawią się zawodnicy, którzy narzucą zmianę reguł. Wówczas — jak to bywało w carskiej armii — generał w grze z pułkownikami może po szlemie w bez atu licytować proste trefle.

Lata siedemdziesiąte wniosły w omawianą grę dwie zmiany. Znacznie wzrosła pula do podziału. Powiększył ją przyrost produkcji krajowej i „zielone" pożyczki. Równocześnie siły poszczególnych gałęzi przemysłu i ich „władców" znacznie się zróżnicowały. Grali już nie tylko jednorożce z kozą, ale i lew. Wyszedł nie tylko o poroże, lecz i o korzeń (najlepiej szwedzkie).

Przy nierównych siłach partnerzy nie tylko bili się o przydziały środków w fazie przygotowania planu, ale niektórzy z nich mogli otrzymywać przydziały dodatkowe w trakcie realizacji. I tak cichcem poza planem postawiliśmy wcale niemałą hutę. Jednorazowo można pogodzić walczące strony, tak jak radzi autor „Alicji w krainie czarów":

Dano im trochę pszennego, a trochę żytniego ciasta

I trochę placka ze śliwek i wybębniono z miasta.

Na przyszłość jednak warto przestrzegać, żeby reguły gry były sensowniejsze, a karty w niej nie znaczone. Inaczej — znowu jednorożce będą płakać, a lwy trzeba będzie wybębnić z miasta.

(emzet)

Michał Czajnik

8 marca 1981 r. zmarł dr inż. Michał Czajnik, wybitny specjalista w dziedzinie ochrony zabytków architektury przed niszczącym działaniem szkodników biologicznych i wilgoci; długoletni pracownik naukowy Zakładu Patologii i Konserwacji Drewna SGGW w Warszawie, członek Polskiego Komitetu Międzynarodowej Rady Ochrony Zabytków i Miejsc Zabytkowych ICOMOS. Należał do tego typu naukowców, którzy główny wysiłek kierują ku praktycznemu zastosowaniu wyników badań.

Specjalność, jaką reprezentował Michał Czajnik, nie należy do zajęć przynoszących splendory. Mykolog pozostaje zazwyczaj anonimowym uczestnikiem procesu konserwacji, choć Jego diagnozy i wskazania mają zasadnicze znaczenie dla egzystencji zabytku.

W latach 1971—76 był w gronie ekspertów, którzy ustalali sposoby wyprowadzenia kaplicy zamkowej w Lublinie ze stanu zagrożenia. Przy Jego udziale sporządzone zostały po raz pierwszy orzeczenia mykologiczne dla wszystkich kamienic Starego Miasta w Zamościu.

Dziedzina, której najwięcej poświęcał uwagi, to ochrona zabytków architektury drewnianej. Był rzeczoznawcą Muzeum Wsi Lubelskiej od początku budowy skansenu i według Jego wskazań prowadzona jest konserwacja obiektów przenoszonych do parku etnograficznego na Sławinie.

Odszedł od nas Człowiek przyjazny, skromny i uczynny, któremu wiele zawdzięcza ochrona dóbr kultury naszego regionu.

Głos Lublina

Jaka ma być partia?

Tadeusz Kwaśniewski

W PRZEMYŚLENIACH z dyskusji przedzjazdowej, gromadzonych w Wojewódzkim Zespole Zjazdowym w Lublinie, dominują ilością i znaczeniem wnioski dotyczące samej partii.

Czy można się temu dziwić? Wszak, jeśli nie w sposób wyrozumowany, to przynajmniej intuicyjnie, wyczuwa się, że odnowa w partii determinuje socjalistyczny charakter niezbędnych krajowi przeobrażeń.

Wnioski dotyczą wszystkich aspektów istnienia i działania partii: tradycji, programu, statutu, całej rozległej sfery życia ideowego, metod działania, obyczajowości, a nawet zmiany nazwy partii (bo są takie pojedyńcze głosy). Mają one wszystkie pewną myśl wspólną i przewodnią, którą zawrzeć można w jednym słowie: demokratyzacja. Chodzi o stworzenie żelaznych gwarancji i spójnego systemu demokratycznych norm życia partyjnego, od nazwiska twórcy zwanych leninowskimi.

Punktem wyjścia i nieodzownym warunkiem urzeczywistnienia odnowy w partii jest uczciwe i konsekwentne rozliczenie się z przeszłością. Liczne wnioski w tych sprawach brzmią kategorycznie i przy ich tonie, pełnym także goryczy i emocji, wyrażane tu i ówdzie poglądy, „by kończyć z tym nurtem rozrachunkowym", zwrócić się ku przyszłości, brzmią słabo i nieprzekonująco. Kto się sparzył, na zimne dmucha...

Rozliczenie z przeszłością rozumiane jest, oczywiście, jako sprawiedliwe ustalenie osobistej odpowiedzialności, jako sankcje partyjne i służbowe, a gdy jest ku temu podstawa, także finansowe i prawne, w stosunku do tych, którzy normy prawne i kanony moralno-etyczne obowiązujące w partii naruszyli, swym postępowaniem spowodowali szkody gospodarcze, społeczne i moralne. Krytykuje się powolność działań w tym zakresie (to już ósmy miesiąc kryzysu!), liberalizm oraz brak dostatecznej informacji o orzeczeniach partyjnej sprawiedliwości.

Jest to ważny, ale nie jedyny przecież aspekt rozrachunku z przeszłością. Partia musi się uwolnić od tych, którzy w jej szeregach znaleźli się z wyrachowania, z przypadku, z „klucza werbunkowego", a dziś to poświadczają obojętnością, biernością, postawą dwuznaczną lub tchórzliwością, nijakością. Czy ma to być naturalna weryfikacja, która już trwa, czy też formalna i powszechna, łącznie z wymianą partyjnych legitymacji? Zdania są podzielone, proces jednak konieczny.

Rozrachunek z przeszłością rozumiany jest we wnioskach także jako niezbędne odnowienie zaufania do władz partyjnych przez wybory. Dotąd pozostawiono tę sprawę swobodnemu uznaniu każdej organizacji partyjnej, na ostatnim posiedzeniu plenarnym Komitet Wojewódzki w Lublinie stanął na stanowisku, że należy przeprowadzić jeszcze przed zjazdem pełną kampanię sprawozdawczo-wyborczą.

Kolejną pozycją w tym rachunku powinna być rzetelna analiza splotu przyczyn nie tylko ostatniego kryzysu. Wyniknąć musi stąd wiedza, obiektywna i pryncypialna, nie oparta na półprawdach i niedomówieniach obowiązujących dotąd koniunkturalnie „od zakrętu do zakrętu".

Dla demokracji muszą być ustanowione gwarancje statutowe przez system precyzyjnie określonych obowiązków i uprawnień, a także ograniczeń, których by nikt w przyszłości nie mógł dowolnie interpretować. Stąd tak wiele wniosków lubelskich organizacji partyjnych odnosi się wprost do projektu nowego statutu.

Dużą rangę przydaje się systemowi wyborczemu. W każdym przypadku muszą obowiązywać wybory tajne, przy nieograniczonej liczbie kandydatów, oddzielne dla funkcji I sekretarza. W wyborach do instancji kandydaci powinni się rekrutować wyłącznie z grona delegatów, a o wyborze decydować bezwzględna liczba otrzymanych głosów. Co do tych generalnych zasad jest duża zbieżność poglądów, co do szczegółowych rozwiązań zdania są podzielone, kontrowersyjne, często nawzajem się wykluczające.

Musi być statutowo wzmocniona nadrzędna rola instancji wybieralnych wobec aparatu wykonawczego. Żąda się ścisłego sprecyzowania kompetencji zastrzeżonych dla zjazdu, dla Komitetu Centralnego, dla I sekretrza, Biura Politycznego i sekretariatu KC i analogicznie dla instancji wybieralnych i wykonawczych niższego szczebla.

Do tego należy dołączyć grupę wniosków postulujących niełączenie funkcji partyjnych z wyboru z eksponowanymi funkcjami w aparacie administracyjnym i gospodarczym, wprowadzenie zasady rotacji (najczęściej mówi się o maksimum dwóch kadencjach) zarówno w instancjach wybieralnych, jak i etatowym aparacie politycznym, oraz uniezależnienie od instancji komisji kontroli partyjnej, podporządkowanie ich zjazdowi i konferencjom sprawozdawczo-wyborczym.

Wnioski zmierzają do zaostrzenia kryteriów doboru do pracy etatowej w partii, która to praca powinna być właściwie traktowana jako czasowe oddelegowanie z zawodu przy zachowaniu ścisłych związków z macierzystą POP. Poddaje się pod rozwagę potrzebę redukcji aparatu etatowego, oparcia się w większym stopniu na siłach społecznych np. na komisjach branżowych, środowiskowych lub doraźnych, powoływanych dla rozwiązania określonych zadań, a wyposażonych w odpowiednie kompetencje. Są i takie wnioski, które poddają w wątpliwość celowość powielania w komitetach partyjnych struktur administracyjnych.

Wspomnieć też trzeba o grupie wniosków domagających się zwiększenia samodzielności podstawowych organizacji partyjnych drogą redukowania dyrektyw, obowiązku ustosunkowywania się do wniosków przez nadrzędną instancję, zasięgania opinii w sprawach kadrowych itp.

Z pragnienia odbudowy autorytetu i wzmocnienia siły partii wynikają wnioski dotyczące jakości szeregów partyjnych — z jednej strony oczyszczenia partii (o czym wyżej pisałem), z drugiej zaś — zaostrzenia na przyszłość wymogów wobec wstępujących. Jakby w naturalnym odruchu wobec tego, co się stało, w całym zestawie kryteriów przydaje się szczególne znaczenie postawom moralnym i etycznym. Postuluje się przedłużenie do dwu lat stażu kandydackiego, wzmocnienie roli rekomendujących, a także podniesienie z 18 do 21 lat granicy wieku niezbędnego przy ubieganiu się o przyjęcie (ten ostatni postulat pochodzi, o dziwo, z kręgów organizacji młodzieżowych). Statut powinien jasno określać stosunek do członków partii wierzących: nie rezygnując z pryncypiów i generalnej orientacji na światopogląd materialistyczny, licząc się jednak z realiami — nie powinno się stawiać ludzi w dwuznacznych sytuacjach moralnych.

Wnioski dotyczą newralgicznej sprawy spełniania przez partię roli przewodniej. „Partia kieruje, rząd rządzi" — powtarza się często to sformułowanie. Ale przecież nie chodzi tylko o oczywiste wyeliminowanie praktyki wyręczania administracji, ingerowania w zarządzanie, sterowanie, którego w tak drastyczny sposób doświadczył np. ruch związkowy i młodzieżowy. Z tego trzeba zrezygnować na rzecz przywództwa politycznego, przekonywujących programów, oddziaływania na bieg spraw poprzez członków partii zasiadających w Sejmie i radach narodowych, piastujących z wyboru funkcje w samorządach i organizacjach społecznych.

Do tej grupy wniosków wliczyć należy te wszystkie, które dotyczą polityki kadrowej. Na dziś potrzebny jest połączony z weryfikacją powszechny przegląd kadrowy. Na przyszłość zaś — większa rozwaga w doborze ludzi na kierownicze stanowiska, jawność decyzji i konsultowanie kandydatur z zainteresowanymi środowiskami (także zasada konkursu), zerwanie z praktyką „przywożenia w teczkach", karuzeli na stanowiskach, zerwanie z pruderią i kamuflażem („odszedł ze względu na stan zdrowia"), także przydanie w doborze większej roli fachowości oraz szersze uwzględnianie bezpartyjnych przy obsadzaniu stanowisk.

Bogaty pakiet wniosków tworzy rozdział, który by można zatytułować: jawność życia partyjnego. Mieszczą się w tym rozdziale wnioski o konieczności autentycznego, a nie pozorowanego, konsultowania ważniejszych zamierzeń. Także postulaty zapewnienia szybkiej i rzetelnej informacji, zarówno idącej w dół, od centrali, jak i ku górze, od POP ku instancjom, oraz przepływającej w poziomie między środowiskiem zawodowym czy też terytorialnym.

Z województwa lubelskiego pochodzi dość oryginalny wniosek o ustanowienie rzecznika prasowego partii. Z chęci wzmocnienia roli prasy jako obiektywnego rzecznika kontroli społecznej wypływają postulaty dotyczące cenzury i zmodyfikowania zasad funkcjonowania prasy. Skoro już jestem przy tym temacie, dodam, że stanowczy sprzeciw lubelskiego środowiska dziennikarskiego wzbudzają narzucone prasie codziennej ograniczenia w częstotliwości ukazywania się (5 razy w tygodniu). W czasach, w których żyjemy, i przy tym głodzie informacji jest to swoiste curiosum. Dopowiem także, że wśród wniosków szczegółowych jeden dotyczy „Kameny". Chodzi oczywiście o to, by stała się tygodnikiem.

Trudno wyliczyć, nawet w najbardziej skondensowany sposób, te wszystkie przemyślenia, które należą do pojemnej i wielowątkowej sfery życia ideowego w partii, jakże jałowego w ostatnich latach. Może więc tylko wspomnę o dwu problemach.

Trzeba zmienić system politycznej edukacji; w jej treściach niezbędny jest nawrót do fundamentalnych wartości socjalizmu. Żywe jest także pragnienie pobudzenia myśli intelektualnej w partii, np. poprzez sieć klubów myśli politycznej marksistowskiej. Mamy zresztą już do czynienia w kraju z tym zjawiskiem, na gruncie lubelskim naśladowanym zbyt nieśmiało.

Również w stylu pracy partii powinny nastąpić przeobrażenia. Jest wielkie i ciągle jeszcze niezaspokojone — sądząc po wnioskach — zapotrzebowanie na spotkania przywódców z członkami partii. Zawsze, ale szczególnie teraz, mają one znaczenie konsolidacyjne. Oczywiste jest, że nie chodzi tu o spotkania reżyserowane, inscenizowane wizyty będące w przeszłości okazją do popisania się serwilizmem. Chodzi o kontakty robocze, swobodne, dające możliwość nieskrępowanej wymiany poglądów i nie ograniczające się do wąskiego grona aktywu.

Postuluje się zerwanie ze zwyczajem organizowania pompatycznych kosztownych uroczystości i obchodów. Podzielone są zdania co do celowości organizowania czynów partyjnych. Jeśli się jednak ich tradycję utrzyma, to i w tym zakresie zerwać trzeba z efekciarstwem.

Wnioski nie omijają także sfery gospodarki majątkiem i funduszami partii. Żąda się szczegółowszego rozliczania się przed członkami partii z budżetów. Nim jeszcze weszła w życie nowa instrukcja o składkach partyjnych, powszechne było żądanie obniżenia ich wysokości (są teraz o około 30 procent mniejsze niż przed rokiem). Nierzadko występują wnioski, by część składek partyjnych pozostawiać w podstawowych organizacjach partyjnych z przeznaczeniem na cele propagandowe, prenumeratę wydawnictw i gazet partyjnych.

Musi paść tu pytanie: jak się to wszystko ma do centralizmu demokratycznego jako podstawy jedności działania partii? To pytanie przewija się też przez dyskusję.

Deliberacje na ten temat mogą przypominać zabawę w przeciąganie liny. Jedni z całej siły, zapierając się nogami, ciągną w stronę „centralizm", drudzy w stronę „demokracja". Można się obawiać przeciążeń, pęknięcia...

Warto porzucić zabawę na rzecz zupełnie prostego rozumowania: tylko w oparciu o rzeczywistą demokrację w partii można budować i osadzać zdrowo pojęty, a nie biurokratyczny, centralizm. Wtedy też znajdzie się miejsce na niezbędną dyscyplinę.

Z wielu setek wniosków ogólniejszej natury i szczegółowych, z których garść zaledwie zdołałem tu przytoczyć, wyłania się oczekiwany niecierpliwie nowy kształt partii.

Jedno wszakże trzeba do tej wizji poczynić zastrzeżenie: jest ona w tym wydaniu zubożona i jakby zawieszona w próżni. Chodzi oczywiście o cały kontekst działania partii. O to, co trzeba zrobić dla demokratyzacji życia w kraju w ogóle, o celny program społeczny, socjalny i gospodarczy. To są również ważne wątki dyskusji przedzjazdowej i w tych sprawach lubelska wojewódzka organizacja partyjna zgromadziła spory materiał do przemyśleń. Ale to już temat oddzielny.

Andrzej Wozniesieński

TREN NA ŚMIERĆ NIENARODZONYCH POEMATÓW

amen
zabiłem poemat. Zabiłem, nim się zrodził. Charon
je utopił!
Ochrona.
Ochrona poezji. Wstęp obcym wzbroniony.
Obrona.
gdzieś we wszechświecie od trującego powietrza
nadmiernej miłości leżą dwa poematy
dwa życia ostatnie tchnienia słowików
ludźmi.
czy zwierzętami
narodziliście się w dzikich stawach Ostankina
wstańcie
podnieście się lipy wśród nocy
gałęziami jak na seansie chiromancji
powstańcie
najdrożsi, powaleni ogniem na asfalcie
otwórzcie się groby
niczym związane nogi gigantów
powstańcie
Cerwantesie, Borysie Leonidowiczu, Bramante
pokochalibyście je także, te martwe poematy
i wy członku Prezydium Rady Najwyższej towarzyszu
Ganzatow
powstańcie
umarła sztuka na to nie mamy już wpływu
i to jest ważniejsze od wszelkich świątecznych dat
wstań
śmierci — to sąd ostateczny, my już aresztowani
powstaniemy
wiem bardzo chciałaś by twój syn
szedł prostą i prawą drogą
wstań matko
powstańcie na Sybirze w Paryżu i we wszystkich
głuchych miasteczkach
przecież myśmy tyle w sobie zabili
zanim się urodziło
powstańcie
fizyku Landau
Koperniku za którego Landau oddał życie
i ty dziwko z jazz-bandu pamiętasz
kose warkocze
powstańcie
bohaterscy malcy którzyście oddali życie za prawdę
powstańcie
(ja nie o kastratach — nie o samobójcach
kto się sam unicestwił — świętość zapodział)
powstańcie
Umarły poematy. Przyjaciele moi udają żal
„wieczna pamięć" — ironicznie szepcą
towarzyszu ministrze marzyliście o pływaniu
macie Liwanow gdzie się podział twój hamlet
wieczna pamięć
zapodział się gdzieś wasz car babciu
wieczna pamięć
młodzieńcze porywy powstańcie płomieniem
wieczna im pamięć
marzenie nadziejo wyszłaś poza kartkę papieru?
wieczna pamięć — Amen
minuta milczenia. Minuta — jak lata
siebie przemilczałem — wszyscyśmy czekali pogody
dzisiaj nie powiesz, jutro nie zdążysz
poprawić tego czegoś nie powiedział
wieczna pamięć
i naszej pamięci która oddaliła się od nas
niczym przedpotopowy mamut
wieczna pamięć
amen
ale temu kto wyniósł ogień przez wszelkie
przeszkody
wieczna sława
wiekuista sława

Przekład: Aleksander Rozenfeld

Niech decydują fachowcy

Henryk Mamcarz

ARTYKUŁ A. Węgrzynowicza „O społeczny wybór techniki" („Kamena" nr 6) należy do publikacji rozliczających różne aspekty naszej przeszłości. W tego typu publikacjach za podstawową przyczynę obecnego stanu rzeczy uważa się brak kontroli społecznej. Nie kwestionuję faktu, że pierwotną przyczyną kryzysu ekonomicznego był kryzys polityczny. Chciałbym natomiast polemizować z niektórymi dyskusyjnymi tezami dotyczącymi wyborów ekonomicznych technik wytwarzania.

Pierwsza kwestia ma charakter terminologiczny. Z treści artykułu nie wynika wprawdzie, że autora posądzić można o nierozróżnianie takich pojęć, jak: technika i postęp techniczny. Jednak nieprecyzyjne posługiwanie się terminologią i brak określenia, jakie znaczenia nadaje tym pojęciom autor, może utrudnić czytelnikowi zrozumienie omawianych zagadnień.

Wyjaśniam, że w literaturze ekonomicznej przez technikę (w sensie zbliżonym do tego, jakim posługuje się autor) rozumie się określone proporcje nakładów pracy i nakładów inwestycyjnych użyte dla osiągnięcia danej wielkości produkcji. Poszczególne techniki różnią się mechanizacją pracy i poziomem jej wydajności. Techniki angażujące duże ilości pracy (pracochłonne) oszczędzają środki produkcji (są kapitało-oszczędne) ich alternatywą są techniki pracooszczędne i kapitałochłonne.

W każdym momencie społeczeństwo dysponuje pewnym wachlarzem technik, odzwierciedlających aktualny stan wiedzy. Powstawanie nowych technik następuje w rezultacie postępu technicznego. O ile technika produkcji jest czynnikiem statycznym, o tyle postęp techniczny jest czynnikiem dynamicznym. A zatem zdanie: „Chodzi więc o to, by [...] ocenić technikę ex ante, tj. tę, która ma dopiero być", nie ma sensu, gdyż technikę wytwarzania stanowią te metody, które aktualnie istnieją. Ten sam zarzut dotyczy zdania: „Dość często w potocznym rozumieniu traktujemy technikę fatalistycznie, sądzimy, że musi być ona taka, jaka jest". Otóż rzecz w tym, że nie jest to „rozumienie potoczne", ale stanowisko ekonomii. Całe nieporozumienie bierze się — jak można przypuszczać z przytoczonego przykładu domów z żelbetu i cegły — z pomieszania pojęć: technika i technologia, które rzeczywiście w potocznym rozumieniu bywają używane zamiennie.

Dyskusyjne wydaje się stwierdzenie, że dla osiągnięcia podstawowych celów zawsze istnieje możliwość wyboru technik w zależności od kryteriów technicznych, ekonomicznych i społeczno-politycznych. Podstawowe czynniki produkcji (maszyny i ludzie) są — w pewnych granicach — zastępowalne. W rachubę wchodzić może jedynie zastępowalność efektywna ekonomicznie, co już ogranicza zakres wyboru. Skrajny pogląd prezentuje tutaj B. Minc, który uważa, że w gospodarce autarkicznej (zamkniętej) nie istnieje problem wyboru ekonomicznego w skali makro. Technika produkcji jest niejako automatycznie wyznaczana wtedy przez wielkość zasobów inwestycyjnych i siły roboczej. Kraj uczestniczący aktywnie w wymianie międzynarodowej ma możliwość importu środków produkcji (kosztem eksportu dóbr konsumpcyjnych), co rozszerza pole wyboru na techniki bardziej kapitałochłonne. Poprzez zakup licencji ma on również możliwość absorbcji postępu technicznego.

Szansa skorzystania z takiej okazji otworzyła się przed gospodarką Polski w latach siedemdziesiątych. Dlaczego jej nie wykorzystaliśmy, dlaczego kupiliśmy tak znaczną liczbę złych licencji? Na pytania te nie wystarczy odpowiedzieć tak, jak to czyni A. Węgrzynowicz: „decydowano często w sposób technokratyczny czy biurokratyczny" oraz że „lepiej byśmy się czuli jako społeczeństwo [...], gdybyśmy mogli się w tych kwestiach wypowiedzieć".

W stwierdzeniach tych są elementy oczywiście słusznej krytki systemu kierowania krajem i gospodarką. Zawarte jest w nich również pewne złudzenie, jeszcze wyraźniejsze w stwierdzeniu, że ważne kwestie techniczne powinny być konsultowane ze społeczeństwem. Gdyby z myśli tej wyciągnąć konsekwencje praktyczne, oznaczałoby to, że trzeba przed każdym zakupem maszyny urządzać ogólnospołeczne referendum. Sugerowana przez autora korelacja między demokracją a postępem technicznym nie jest wcale taka oczywista. Bez trudu znaleźć można kraje dysponujące wcale kapitałochłonnymi i efektywnymi technikami, a dalekie od demokracji. Nieumiejętne wdrażanie postępu technicznego nie wynikało z tego, że np. Gierek był technokratą, a Jaroszewicz demokratą, lecz z tego, iż istniejący system ekonomiczny nie wymuszał na inwestorach wyborów optymalnych. Warto zwrócić uwagę na to, że przy groteskowym systemie przeliczeń dewizowych, zwłaszcza z tzw. walut twardych, żaden rachunek ekonomiczny praktycznie nie był możliwy. I nic by tutaj nie pomogło nasze dobre samopoczucie, że jesteśmy demokratycznie rządzeni.

Korzystanie z importu myśli technicznej w ogóle nie jest sprawą prostą. Od chwili zakupu licencji do momentu wyjścia na rynek upływa czas wystarczający na ogół na to, by licencjodawca był już znacznie dalej. Szanse na dogonienie „dawcy" ma licencjobiorca tylko wtedy, gdy potrafi stworzyć własny efektywny potencjał badawczy i potrafi skutecznie prognozować kierunki postępu technologicznego. Jednym z niewielu krajów, które spełniły te warunki, była Japonia.

Bez ich spełniania rozwój kraju kupującego licencję przypomina poruszanie się po „krzywej pościgu psa". Określenie to pochodzi od drogi, jaką przebywa pies, gdy chce dogonić myśliwego. Biegnie on do tego punktu, w którym aktualnie znajduje się jego pan. W rezultacie dogania go (lub nie) po linii krzywej, czyli po drodze znacznie dłuższej od tej, którą pokonałby, potrafiąc przewidzieć kierunek ruchu pana. Oczywiście, gdy na dodatek kupuje się licencje źle, ruch po „krzywej pościgu psa" przerodzić się może w mozolny marsz żółwia. Dlatego nie wydaje się w pełni słuszna teza, że kraje, które absorbują znaną technikę, są narażone na mniejsze ryzyko negatywnych skutków rozwoju. Praktyka wielu krajów wskazuje, że przeskoczenie pewnych etapów rozwoju nie jest w pełni możliwe. A jeżeli nawet się udaje, to pojawiają się kłopoty związane ze: zwiększeniem się różnic społecznych, częstym wzrostem bezrobocia oraz znaczną zależnością polityczną od krajów wspomagających.

Słuszny jest natomiast pogląd o braku jednej uniwersalnej techniki, najlepszej dla całego świata czy kontynentu. Istnieje jednak pewien paradoks, zmuszający kraje słabo rozwinięte do stosowania technik wytwarzania dla nich niewłaściwych. Kraje te, ze względu na brak możliwości płatniczych i przeludnienie, zainteresowane są w imporcie technik pracochłonnych i kapitałooszczędnych. Kraje kapitalistyczne, jako główni dawcy, nie mogą im dostarczyć takich technik, gdyż ich już nie posiadają. W rezultacie, chcąc się rozwijać, kraje biedne muszą importować techniki kapitałochłonne, zwiększając bezrobocie. Sprawę tę warto poruszyć z dwóch względów. Z jednej strony — pojawiają się szanse eksportu naszych rozwiązań do krajów trzecich, z drugiej — widać, że przy katastrofalnym stanie naszego bilansu płatniczego i zahamowania inwestycji (co nie pozostanie bez skutków dla rynku pracy) znajdujemy się obecnie w sytuacji podobnej do tych krajów. Nie trudno jest zatem prorokować znaczne ograniczenia, jakie powstaną dla nas przy imporcie techniki.

Poruszyłem już kwestię decydowania o wyborze technik. W zakończeniu chciałbym raz jeszcze do niej wrócić. Wydaje mi się bowiem, że niesiony nurtem przemian A. Węgrzynowicz idzie trochę zbyt daleko, gdy podpisuje się pod twierdzeniem Schumachera: „Jeżeli polityki nie powinno się powierzać ekspertom, tym bardziej nie powinno się tego robić z ekonomią i technologią", i dalej: „Ponadto zwykłych ludzi stać często na poglądy szersze, bardziej humanistyczne i bardziej wrażliwe na problematykę techniki niż ekspertów". Rozumiem dobrze, że słowo „ekspert" stało się ostatnio epitetem. Jako ekonomista muszę jednak zaprotestować przeciwko sugestii, że Polską rządzili ekonomiści. Jako obywatel muszę powiedzieć, że nie chciałbym mieszkać w takim kraju, w którym ekonomią zajmują się niefachowcy. Jako czytelnik wolałbym czytać teksty pisane przez ekspertów niż zwykłych ludzi, choćby bardzo wrażliwych na problematykę techniki.

Zazdroszczę samopoczucia

Marian Janusz Kawałko

MÓJ list otwarty do ZG Związku Nauczycielstwa Polskiego („Kamena" nr 3) otrzymał surową ripostę od Stanisława Grześniaka, wiceprezesa centralnych władz ZNP Pracowników Oświaty i Wychowania. Związkowy zwierzchnik postawił mi mianowicie ciężki zarzut, iż swoje wywody preparowałem „metodą dopasowywania faktów do z góry przyjętej tezy".

Nie jest moim zamiarem odpowiadać kolejno na wszystkie tezy zawarte w artykule polemisty („Czy ZNP jest konserwatywny?", „Kamena" nr 6), wrócę tylko do niektórych. (Własny pogląd na efekty działania organizacji związkowej zamierzam przedstawić podczas obrad XIV Krajowego Zjazdu ZNP).

1. Sprawa statutu. Pierwotną jego wersję, która wywołała tyle niesmaku i namiętnych dyskusji wśród różnych grup nauczycielskich, opracował były Zarząd Główny ZNP, zaś wszelkie istotne poprawki zostały wprowadzone na wniosek tzw. terenu. Ma rację Stanisław Grześniak, iż „te głosy krytyczne spowodowały określone skutki", czyli opracowanie nowego projektu statutu, przyjętego przez XIII Zjazd Krajowy. Ale też m.in. właśnie na skutek zaprezentowania przez centralne władze ZNP pierwszej, bojaźliwej wersji kodeksu związkowego wielu nauczycieli wystąpiło z ZNP). Kolega wiceprezes tę stronę zagadnienia przemilczał.

2. O kwestii przynależności ZNP Pracowników Oświaty i Wychowania do Komisji Porozumiewawczej Branżowych Związków Zawodowych przeczytałem u mego korespondencyjnego interlokutora sporo. Gdy dowiaduję się jednak, iż nasz udział w tym organie międzyzwiązkowym rozszerza płaszczyznę „wypowiadania się wobec władz politycznych i państwowych w podstawowych sprawach bytowych, socjalnych i zawodowych", to mnie taka argumentacja nie przekonuje. Skoro Związek, co S. Grześniak uwypuklił, ma możliwość samodzielnego prowadzenia pertraktacji z różnymi decydentami rządowymi, czemu zatem — zapytam naiwnie — szuka dodatkowego wsparcia ze strony KP BZZ?

Znane stwierdzenie przewodniczącego Komisji Porozumiewawczej, Albina Szyszki, że „taki jest i taki będzie ruch zawodowy w naszym kraju, jaka jest i jaka będzie nasza partia" (VIII Plenum KC), jako żywo przypomina mi niegdysiejsze deklaracje CRZZ.

Nadto w lutowym wywiadzie dla „Polityki" tenże przewodniczący orzekł: „Trzeba w tym miejscu wyraźnie powiedzieć, że punkt dotyczący powołania tzw. „wolnych związków zawodowych" (mowa o porozumieniu gdańskim z 31 VIII 1980 — przyp. M. J. K.) był wyraźnie polityczny, a nie związkowy, robotniczy. Wystarczyło zażądać powtórzenia wyborów, nadzwyczajnych zjazdów, zmian statutów — słowem tego, co zrobiliśmy przez ostatnie pół roku" (podkr. moje — M. J. K.).

Pytam więc, czy takie sformalizowanie działań ma wystarczyć za całą odnowę metod organizowania ruchu zawodowego? I czy zapewnia ono związkom branżowym faktyczną niezależność od władz politycznych? A może nie o nią tak naprawdę chodzi? Powiem krótko: trzeba wreszcie jasno sprecyzować przyszłościowy charakter Związku Nauczycielstwa Polskiego.

3. Sprawę strajków nauczycielskich reguluje projekt nowej ustawy o związkach zawodowych, wedle którego nauczyciele są ze strajków wyłączeni. Należy zatem, kolego wiceprezesie, opracować inne formy protestu (o ile nie zostanie przeforsowany pański punkt widzenia).

4. Ponieważ mój polemista informuje, iż obecnie „działalność Związku koncentruje się wokół przyjętego na zjeździe programu" (mowa o poprzednim zjeździe), okażę zatem cierpliwość, lecz rad bym usłyszeć podczas XIV Zjazdu Krajowego o wynikach tej działalności. W prasie związkowej („Głos Nauczycielski", „Głos Pracy") raczej mało można przeczytać o realizacji „ambitnego programu ZNP".

5. Negując celowość przynależności ZNP POiW do Komisji Porozumiewawczej Branżowych Związków Zawodowych, proponuję, aby Zarząd Główny wystąpił z inicjatywą utworzenia Niezależnej Grupy Porozumiewawczej Kulturotwórczych Związków Zawodowych. Należeliby do niej na równoprawnych zasadach branżowi pracownicy oświaty, kultury, sztuki, prasy, służby zdrowia. Wspólnota interesów, której nie muszę dowodzić, została już zarysowana paroma porozumieniami tzw. „grupy czterech". Nie zwalnia to, rzecz jasna, Związku Nauczycielstwa Polskiego od działań, które wzmocnią jego prestiż w społeczeństwie i zapewnią mu faktyczną samorządność i niezależność.

6. Wreszcie sprawa działalności ex-kierownictwa ZNP. Była ona jednym z tematów wywiadu, jakiego udzielił na początku września ub. roku ówczesny prezes Zarządu Głównego ZNP, Bolesław Grześ (vide „Głos Nauczycielski" nr 36 z 1980 r.). Zacytuję dla przypomnienia dwa fragmenty. Pierwszy: „Związek nasz czyni wiele dla środowiska nauczycielskiego. Sporo zbudowaliśmy, zarówno sanatoriów, jak też domów wypoczynkowych, wczasowych, świetlic i klubów, Domów Nauczyciela. Sporo czynimy dla nauczycielskiego zdrowia, rekreacji, turystyki krajowej i zagranicznej, kształcenia i dokształcania pedagogów, samokształcenia". A dalej nieco: „Wciąż zbyt mało u nas ofensywności w działaniu. Za mało związkowej upartości w kwestiach ważnych dla nauczycielskiego stanu. Stanowczo za mało używamy takich słów i zdań jak: „nie", „nie zgadzamy się", „nie pozwolimy". Często też — może zbyt często — przechodzimy obojętnie wobec sprzecznych decyzji". Czy mój interlokutor, pracownik także byłych centralnych władz związkowych, nie identyfikuje się z powyższą samoocenią ZG ZNP?

Parafrazując jedną z myśli Stanisława Grześniaka, zawartą w jego odpowiedzi na mój list otwarty, dodam, że przypominanie jedynie, lub przede wszystkim, tego, co było udane, jest oczywistą nierzetelnością, inaczej mówiąc — „próbą dopasowywania faktów dla sobie tylko wiadomych celów".

Wedle kolegi wiceprezesa to ja jestem konserwatystą, bowiem negatywnie oceniłem działania związku (moim zdaniem chybione) lub brak działań. Natomiast pan Grześniak, pytając przekornie „Czy ZNP jest konserwatywny?", pragnąłby usłyszeć — mniemam, iż rozumiem dobrze jego intencję — generalnie przeczącą odpowiedź.

Przyznaję — zazdroszczę mojemu polemiście dobrego związkowego samopoczucia.

W końcu przecie na dużej scenie

Maria Bechczyc-Rudnicka

DŁUGA była w Lublinie droga dramaturgii St. I. Witkiewicza na „normalną" scenę zawodową. W 1962 r. zespół amatorski Wojewódzkiego Domu Kultury grał z powodzeniem „W małym dworku", a choć inscenizacja została zrealizowana przy współpracy Jerzego Golińskiego i Liliany Jankowskiej, reżysera i scenografa Teatru im. J. Osterwy, sam teatr nie pokusił się o wystawienie jakiejś sztuki Witkacego aż do r. 1976, kiedy to (za dyrekcji Z. Sztejmana) wystawiono „Wariata i zakonnicę" — na scenie eksperymentalnej „Reduta 70".

W głowę zachodzę, czemu nie uwzględnił w repertuarze żadnej sztuki Witkacowej Kazimierz Braun, który reformował lubelski teatr pod hasłami awangardy. Może gatunek „osobności" tej dramaturgii po prostu nie odpowiadał zapalonemu propagatorowi „teatru wspólnoty"?...

Tak czy inaczej, mamy do odnotowania tylko fakt, że autonomiczne Studium Dramaturgii Współczesnej, powstałe przy Teatrze im. Osterwy w okresie kierownictwa artystycznego Brauna, zaprezentowało w 1971 r. bywalcom lubelskich klubów i domów kultury — „Szewców" Witkacego w reżyserii ówczesnego aktora naszego teatru, Jerzego Schejbala.

Otóż inicjatywa prezentacji w Lublinie granej obecnie przez Teatr im. J. Osterwy „Mątwy" zrodziła się również w SDW. Głównym inicjatorem był tu, jak zawsze w kwestiach repertuarowych, animator i koordynator pracy Studium Dramaturgii Współczesnej Roman Kruczkowski. Wyreżyserował on w konwencji studyjnej „Matwę" w związku z przypadającym na koniec ub. r. dziesięcioleciem działalności społeczno-kulturalnej Studium. Pokaz, który się odbył w salonie teatralnym, urządzonym jesienią na miejscu „Reduty 70", wypadł tak interesująco, że dyr. I. Gogolewski zaproponował Kruczkowskiemu włączenie „Mątwy" do bieżącego repertuaru teatru, oczywiście już w „normalnym" kształcie teatralnym, z dekoracją, kostiumami, z pełną ekspresją gestu i ruchu etc.

Teatr zyskał *eo ipso* nobliwie efektowną pozycję repertuarową w momencie, gdy frekwencja na cieszącym się wielkim powodzeniem „Cydzie" zaczynała wykazywać tendencję zniżkową, a *long run* bajki dla małych dzieci „Królewna Śnieżka" przyprawiał już o frustrację widzów dorosłych. Przy tym osiągnięte wymienionymi tytułami sukcesy kasowe pozwalały na zaryzykowanie dla honoru domu eksperymentu z Witkacym...

Tak oto sztuka Witkacego trafiła w Teatrze im. J. Osterwy na dużą scenę. Innej sceny zresztą teatr ten obecnie nie ma.

„Mątwa czyli hyrkaniczny światopogląd" nie należy do najczęściej granych sztuk autora „Szewców". K. Puzyna, w Nocie na końcu t. II PIW'owskiego wydania DRAMATY Stanisława Ignacego Witkiewicza (1962), wymienia wystawienie krakowskiego Teatru „Cricot", z 1933 r., w reżyserii W. J. Dobrowolskiego, oraz inscenizację Tadeusza Kantora z r. 1956 w „Cricot II". Wiemy jeszcze o wystawieniu, łącznie z „Janem Maciejem Wścieklicą", w warszawskim Teatrze Narodowym (r. 1966) i o spektaklach „Mątwy", połączonej z „Szaloną lokomotywą", w poznańskim teatrze lalkowym „Marcinek" (lata: 1968, 1969, 1970).

Wynika z powyższych danych, iż pokaz w lubelskim Studium Dramaturgii Współczesnej był dopiero piątym, a inscenizacja w Teatrze im. J. Osterwy była zaledwie szóstym wystawieniem „Mątwy" w skali ogólnopolskiej, w blisko pięćdziesięcioleciu, jakie upłynęło od czasu powstania utworu (r. 1922). Zdarzenie owo zajmie tedy poczesne miejsce w historii witkacjanów. Trzeba nadto ocenić je pozytywnie jako wyraz szacunku dla publiczności miasta posiadającego bądź co bądź pięć wyższych uczelni.

Z tym wszystkim nie należy, sądzę, zapominać, iż „sprzedawanie widowni" przygodnym grupom wycieczkowym składającym się z ludzi, którzy oczekują od przedstawienia treści przystępnych i relaksu, może tylko zniechęcić tę kategorię widzów do teatru.

Z przyjemnością stwierdzamy, że sprawa *publicity* została nareszcie w Teatrze Osterwy niezgorzej ustawiona. Widać na mieście niemało afiszy — na murach, w witrynach sklepów, drukowane ulotki reklamowe towarzyszą poszczególnym premierom. Lecz nasuwa mi się zarazem uwaga, iż lista adresatów, według której wysyła się ulotkę, musi być szczególnie dobrze przemyślana w takich wypadkach, jak spektakl „Mątwy". A już na pewno tekst informacji nie powinien zawierać apodyktycznych orzeczeń w rodzaju następującego: *Bez tych kategorii estetycznych* (fantastyki, groteski i absurdu) *zrozumienie współczesnych czasów byłoby niemożliwe.* Nie godzi się bowiem upraszczać egzystencjonalnych i ponadczasowych problemów Witkacego, sprowadzając je do łatwych aktualiów.

Na każdym spektaklu „Mątwy" jest sporo widzów ze sfer akademickich, przydałoby się przeprowadzenie od czasu do czasu „pospektaklowych" dyskusji. Albo przynajmniej umieszczenie w hallu skrzynki, do której widz mógłby wrzucić wypowiedź o przedstawieniu.

Osobiście, chyba „z nałogu" byłego kierownika literackiego, przywiązuję dużą wagę do programu teatralnego komentującego spektakl. Otóż, o ile poziom programu do „Kandydy" budził zasadnicze wątpliwości, o tyle program do „Mątwy" wydaje się przygotowany ze specjalną troską o dobrą reputację teatru w Lublinie, a niechby i w stolicy. Widz otrzymał do ręki obfite materiały: dwa fachowe artykuły o poetyce Witkacego i o cechach, że tak powiem — esencjonalnych „Mątwy czyli hyrkanicznego światopoglądu", tudzież ciekawy fragment recenzji z przedwojennej prapremiery. Szkoda tylko, że zabrakło zwięzłego życiorysu lub kalendarium bio-bibliograficznego Witkacego.

Czytelnikom, którzy nawiążą kontakt z jego dramaturgią dopiero przy okazji wystawienia w Lublinie „Mątwy", a pragnęliby poszerzyć uzyskane w teatrze wiadomości, pozwalam sobie doradzić przeczytanie wspomnianego wstępu Konstantego Puzyny oraz równie wnikliwego i klarownego wstępu Jana Błońskiego do wyboru dramatów S. I. Witkiewicza w wydaniu Ossolineum 1974 r.

Proszę też przeczytać w grudniowym numerze „Twórczości" z ub.r. opublikowane przez Urszulę Czartoryską listy Witkacego do przyjaciela, Bronisława Malinowskiego, autora „Argonautów Zachodniego Pacyfiku". Rzucają one jaskrawy snop światła na niesamowitą, tragiczną postać wielkiego dramaturga i myśliciela, na niesłychaną mękę, w jakiej tworzył swe dziwne, prekursorskie, graniczące z proroctwem, sztuki. Kilkakrotnie powtarza się w tych listach słowo samobójstwo. Jakże przejmująco brzmi taki fragment listu z 25 lipca 1938 r.:

Nie pisałem, bo chciałem Ci coś dobrego napisać, tymczasem jest coraz gorzej i jestem zdecydowany (w najbliższym czasie po ukończeniu pewnych prac) skończyć ze sobą nieco przedwcześnie.

Zapowiedź tę, jak wiadomo, spełnił we wrześniu roku 1939.

M ą t w a (*Sepia officinalis*), mięczak należący do gromady głowonogich. Zaatakowany przez napastnika, wypuszcza zawartość specjalnego narządu — worka czernidłowego —, zabarwiając na czarno otaczającą wodę... Skąd taki tytuł dla sztuki? Zdawałoby się przecie, iż główną jej postacią jest Bezdeka, zdradzający raz po raz rozterki samego autora, mątwa natomiast, przezwisko Elli, „kobietona" czepiającego się Bezdeki, awansuje zasadnie do tytułu, gdy założymy, że Ella jest symbolem „mętów" otaczającej Witkacego, rzeczywistości pierwszych dziesięcioleci naszego wieku, symbolem wszystkich tych, co w „mętach" ocalają swoją marną, jak to się mawia — „mieszczańską" egzystencję. Bo ja wiem... Zresztą symbole Witkacego rzadko dają się odczytać konsekwentnie. W każdym razie postać Elli, z jej domniemaną mieszczańską bebechowatością, słusznie została skarykaturowana w lubelskim przedstawieniu, choć z taktem, ale tak dalece, by jej tymczasowa śmierć z ręki Hyrkana nie budziła współczucia widzów. Rolę tę znalazła w Jolancie Werfel-Adamowicz świetną interpretatorkę.

Bezdekę gra Piotr Wysocki. Czy Bezdeka jest „nieudanym artystą malarzem, jakich pełno w literaturze modernistycznej" — zgodnie z twierdzeniem autora (autorki?) ulotki teatralnej? Wątpię. Nie bez kozery obrazy Bezdeki zostały zniszczone „z rozkazu naczelnika Syndykatu Ręcznego Paskudztwa". Rzecz paradoksalna (jak to u Witkacego) — bardzo trafnie charakteryzuje Bezdekę ... Hyrkan, jego przeciwieństwo: *Jesteś* — mówi — *życiowym absolutystą.* [...] *Nie mieścisz się ani w sobie, ani w tak zwanym społeczeństwie.* I gdzie indziej: *Ty cierpisz już na psychozę więzienną, będąc na wolności. Przeintelektualizowany erotyzm połączony z oscylacją między perwersją a klasycyzmem w sztuce...*

W wypowiedziach Bezdeki i innych postaci o nim zabrzmi tu i ówdzie autoironia Witkacego, którego do pasji doprowadzała niemożność ogarnięcia absolutnej Prawdy metafizycznej i osiągnięcia absolutnie Czystej Formy w literaturze. Toteż oczekiwałabym od aktora oparcia samooskarżeń Bezdeki raczej na gniewie niż na żałosnej słabości.

Błoński określa „osobliwy witkacowski światek" jako *rozhasany, rozpętany, chimeryczny, pełen narwanych arystokratów, kobiet fatalnych, cynicznych i patetycznych...* Dodajmy: postaci sprowadzanych d'outre-tombe. W „Mątwie" widzimy: Hyrkana IV, króla urojonego państwa, Alice d'Or, kobietę-posąg, Juliusza II, papieża z XVI wieku (nie wiedzieć czemu i ulotka, i program cofają go do w. XV. Juliusz II urodził się wprawdzie w XV w, lecz papieżem był w latach 1503—1513. Może ten *lapsus calami* powstał z mylnej interpretacji włoskiego terminu *cinquecento?*). Krystyn Wójcik kreśli postać Juliusza II kreską delikatną, akcentując wysoką kulturę i renesansową tolerancję mecenasa sztuki, który powie: *Względność, mój synu, oto jedyna mądrość w życiu i w filozofii.* Prezentuje też celnie Wójcik dowcip słowny, którego Witkacy przydzielił najwięcej postaci papieża, potraktowanej realistycznie, co w witkacowskim ostentacyjnym mieszaniu stylów oczywiście nas nie zaskakuje. W realistycznym też ujęciu ukazano nam Alice d'Or (którą bardzo ładnie gra Barbara Wronowska), choć konia z rzędem temu, kto mi powie precyzyjnie, co reprezentuje w sztuce ta kobieta-posąg, raz perwersyjna, raz dobra, już to „papieżyca upadłych tyranów", już to była kochanka Bezdeki. Jeśli ma rację Błoński, że „Juliusz II przypomina straconą wielkość", to czy nie można by odnieść tego określenia w jakimś stopniu do Alice d'Or?

St. I. Witkiewicz „Mątwa" Krystyn Wójcik (Juliusz II), Barbara Wronowska (Alice d'Or), Piotr Wysocki (Bezdeka), Jolanta Werfel-Adamowicz (Ella), Jan Wojciech Krzyszczak (Hyrkan IV), Maciej Polaski (Tetrykon)

Fot. Z. Zugaj

Przypuszczam, że Roman Kruczkowski wziął na warsztat „Mątwę" przede wszystkim z powodu Hyrkanii. Problem władzy, naczelny problem kuli ziemskiej od momentu pierwszej „umowy społecznej", potraktował Witkacy ponadczasowo, w proroczym przewidywaniu przyszłych zagrożeń. Powie Hyrkan: *Pseudotytany wyrosłe z socjalizmu muszą kłamać, by utrzymać się przy władzy. My nie* [...]. Ale jak wygląda Prawda Hyrkanii? Ta Utopia nie jest nawet „zorganizowanym mrowiskiem", *tylko jedną wielką kupą rozproszonych bydląt*, nad którymi władzę sprawuje Hyrkan i jego przyjaciele, po radykalnym cofnięciu cywilizacji. Kto wie, może lepiej było grać Hyrkana z zagadkowym wyciszeniem, jako przeintelektualizowanego, sfanatyzowanego byłego studenta Sorbony, Pol Pota? Ale skądinąd trzeba przyznać, że pokazanie brutalnego Raubrittera (zgodnie zresztą z określeniem Juliusza II) wnosi do spektaklu pożądane ożywienie, za co Jan Wojciech Krzyszczak zasługuje niewątpliwie na duże brawa.

Odnotujmy też sukces Marii Szczechówny i Marii Kaczkowskiej w groteskowych rolach Matki Elli i Matrony, Macieja Polaskiego — godnego starego sługi, Tetrykona, oraz Waldemara Starczyńskiego i Marka Prażanowskiego — dwóch komicznych w swej niemrawości Starych Panów.

Bardzo dobrym pomysłem reżyserskim jest wprowadzenie głośnika w końcowej części mowy finalnej Bezdeki. Wywołuje to naprawdę wstrząs metafizyczny.

Oprawa sceniczna Zofii Kopel-Szulc i Henryka Szulca, cała czarna, z podświetlonym na zielono portretem Witkacego „w rozbitym lustrze", stanowi też nader wartościowy element spektaklu. Do kostiumu Bezdeki mam pewne zastrzeżenie: jego czerń zyskuje walor dopiero z chwilą, gdy Hyrkan zrzuci płaszcz i ukaże się także w czarnym kostiumie.

Teraz czekamy niecierpliwie na „Iwanowa".

LUBLIN 1916 (III)

„Mały Wiedeń"

Maria Dąbrowska

PRZYJEŻDŻAŁ też dwa lub trzy razy do Lublina dr Kot. Wygłaszał tam odczyty, a raz, pamiętam, spotkałam go na jakimś raucie, urządzonym przez Wydział Narodowy czy Ligę Kobiet. Na ogół stosunki Wydziału z Departamentem Wojskowym były już wtedy żadne albo złe. Ja jednak sympatyzowałam nadal prywatnie z dr Kotem i za którąś jego bytnością przewałęsałam się z nim po mieście całe popołudnie — byliśmy razem w cukierni, a potem ofiarował mi kupiony na ulicy bukiecik fiołków i ku mojemu zdumieniu... kilo cukierków. Było to nasze ostatnie czy przedostatnie widzenie z tym moim wówczas bardzo miłym znajomym — aż do czasu, kiedy w kilkanaście lat później odwiedził mnie raz w Warszawie, przynosząc swoje książki.

Oprócz odczytów dr Kota przyjeżdżał też z odczytem czy odczytami prof. Eugeniusz Romer ze Lwowa. Mówił, zdaje się, o przyrodzonych granicach Polski, posługując się wielkimi mapami. Może były jeszcze jakieś inne odczyty publiczne, ale ich nie pamiętam. Mnie samej też się zdarzyło wygłosić w mniejszym gronie cykl odczytów o spółdzielczości. Urządzała te moje odczyty pani Papie[w]ska [1]), której mąż był, zdaje się, muzykiem, a ona siostrą Jana Hempla [2]), samopas chodzącego oryginała, usiłującego na grunt Polski przeszczepiać buddyjski światopogląd religijny. Ten Hempel, podobnie jak p. Orsetti, należał do jednej z ziemiańskich rodzin Lubelszczyzny. Był to jeden z tych ciekawych, ale zbyt oderwanych umysłów, których praca przepada w znacznej części, jak i on przepadł w końcu bodaj gdzieś w Rosji Sowieckiej. Za moich czasów przebywał w Lublinie, ale i on, i Papiescy od akcji politycznej trzymali się z daleka. Spotykaliśmy się za to na gruncie wspólnej sympatii dla ruchu spółdzielczego.

Lublin w owym czasie nabrał, jak się niektórzy wyrażali, charakteru „małego Wiednia". Za przykładem Niemców, Austriacy po zajęciu południowo-wschodniej połaci b. Królestwa, utworzyli z niej generał-gubernatorstwo ze stolicą w Lublinie. Generał-gubernator von Kuck obsadził zarząd okupacji, o ile na to pozwalały tłumy dekujących się Czechów, Polakami z Galicji. W mieście mnóstwo też było austriackich oficerów Polaków, mnóstwo dam i nie-dam oficerskich, przybyłych z Wiednia, Budapesztu i Bóg wie skąd. W sklepach — pełno gustownych wiedeńskich drobiazgów, strojów i kapeuszy. Garść społeczeństwa lubelskiego utrzymywała z wojskowymi austriackimi polskiej narodowości stosunki towarzyskie, zwłaszcza z ułanami 13 pułku, uchodzącego za najbardziej polski. Zapraszano ich na wieczorki taneczne, kojarzyły się ponoć i narzeczeństwa lubelskich panien z c. k. oficerami, ale te rzeczy znałam tylko z opowiadania.

Życie okupacyjne było podszyte oczywiście i buszującą spodem korupcją wojenną, z której tylko jeden, przypadkiem odkryty, epizodzik tu zanotuję. Przygodnie, z okazji wspólnego wysyłania prywatną drogą listów do Piotrkowa, zapoznałam się w Lublinie z panią Musią P., pochodzącą z Piotrkowa i od niedawna zamieszkałą w Lublinie. Rozwodziła się z mężem i miała przy sobie ośmioletniego synka, Jurka. Była to tak maluteńka osóbka, że ja, będąc bardzo drobną, jeszcze się przy niej duża wydawałam. Główkę miała pełną wdzięku, twarzyczkę okrągłą, czarne wypukłe oczy i uszeczka „w ciup", wszystko razem podobne en beau do główki tych malusich piesków pokojowych z wyłupiastymi oczyma. Ubierała się ze smakiem i strojów miała bez liku. Z powodu jednego z nich — białej muślinowej sukni, zafalbankowanej, szerokiej niby krynolina, ktoś z moich znajomych nazwał ją „obłoczkiem szrapnelowym". Mieszkała w kawalerskim pokoiku, który sobie urządziła jak cacko za pomocą skupywanych namiętnie antyków, obrazów, starożytnych kilimków, szalów i przeróżnych artystycznych gracików, jakich wtedy, jak to zwykle w czas wojny, mnóstwo było na zbyciu. Miała się doskonale, żyła nawet zbytkownie, a zwłaszcza zbytkowne robiła przyjęcia w stylu studenckiej cyganerii. Bywali u niej między innymi Adam Dobrodzicki, zwany Gadem, Stefan Boguszewski, dr Kot, Bogusław Miedziński i wielu innych z legionowego towarzystwa. Pani Musia powzięła do mnie sympatię i zapraszała mnie, więc czasem u niej bywałam, bo mnie i ciekawiło, co to za człowiek, zdawała się bowiem należeć do ludzi, o których, jak powiada Prus w „Lalce", wie się, na co wydają, ale nie wie się, skąd czerpią dochody. W końcu zagadka ta wyjaśniła się w pewnej przynajmniej części. Otóż raz czy dwa zastałam u pani Musi starszego pana, mocno podtatusiałego, o poczciwym wyglądzie i milczącym, łagodnym sposobie bycia. Po pewnym czasie dowiedziałam się, że jest to p. Smoluchowski, szef wydziału handlu i przemysłu w gen[eralnym] gubernatorstwie lubelskim. Na razie zainteresowało mnie tylko to, że był on bratem słynnego, przedwcześnie zmarłego fizyka krakowskiego, Mariana Smoluchowskiego. Wkrótce jednak dowiedziałam się, że ów skromny dygnitarz generalnego gubernatorstwa, żonaty z Niemką, był wielbicielem, protektorem i opiekunem pani P., która się z tym zresztą wcale nie kryła i nazywała go „Tatuńcio", zapewniając zawsze o przyjacielsko-ojcowskim charakterze tej opieki. Mniejsza z tym, co ich łączyło, ale pointe'ą sprawy był dowcipny sposób, w jaki „Tatuńcio" swej protegowanej pomagał. Ona sama mi to opowiadała z jakąś osobliwą i bodaj że nieudaną naiwnością. Otóż, jak zawsze w tego rodzaju okolicznościach, system łapownictwa święcił w życiu gospodarczym okupacji tryumfy. Za pieniądze czy inne poszukiwane przez dygnitarzy świadczenia można było obejść wszystkie rygory wojennych przepisów gospodarczych. Trzeba było tylko „wiedzieć drogę". P. Smoluchowski, od którego zależały pozwolenia na wszelkie przywozy i wywozy, urządził rzeczy tak, aby między zainteresowanymi rozeszła się wiadomość, że pani P. stanowi owego nieuniknionego pośrednika, przez którego należy przejść, aby dostać się do biur, wydających odpowiednie koncesje i zezwolenia. Była to czysta mistyfikacja, ale udawała się tak, że i „Tatuńcio" miał czyste ręce, i rodzina jego nie doznawała uszczerbku i pani Musia, pobierając porękawiczne czy rogatkowe od robionych w ten sposób interesów — prosperowała.

To zwierzenie tak mnie od niej odrzuciło, że choć była miła, uczynna, choć nic złego potem już o niej nie słyszałam, a syna swego ostatecznie dobrze wychowała, nie mogłam, pomimo jej około tego zabiegów, nawiązać z nią już potem żadnych bliższych, bodajby tylko towarzyskich stosunków. W Warszawie, gdzie dotąd mieszka, raz tylko ją na jej prośbę odwiedziłam. Czekała wtedy na wizytę generała Mariana Zaruskiego z żoną, których też, wychodząc, spotkałam, jak wysiadali z windy. Nieraz dziwiła mnie tajemnica jej rozległych i często nawet w dobrym guście stosunków towarzyskich, ale Bóg z nią. Upamiętniła mi się jeszcze tym, że u niej właśnie, trafiwszy na jedno z jej przyjęć, z likierami, po raz pierwszy i jedyny w życiu upiłam się.

Marian Dąbrowski w Legionach
Reprodukował Waldemar Stępień ze zbiorów Muzeum Literatury im. Adama Mickiewicza w Warszawie

W miarę przedłużania się mojego pobytu w Lublinie, praca w Wydziale Nar[odowym] dawała mi coraz mniej zadowolenia. Politycy mnie nudzili, pismo pod baczną cenzurą cesarsko-królewskich patriotów polskich stawało się coraz bledsze. I gdyby nie inne wartości mojego ówczesnego życia, żałowałabym, że przyjechałam do Lublina. A tych innych wartości, owszem, istniało dużo. Czarowała mnie sama piękność miasta i jego malownicze położenie. Cieszyła mnie Biblioteka im. Łopacińskiego, w której mogłam dowoli studiować historię i literaturę. Napawałam się towarzystwem i przyjaźnią Zośki Poniatowskiej, którą bardzo kochałam. Moje życie osobiste było urozmaicone przygodami, troskami i radościami, wypełniającymi je cenną treścią po brzegi. Byłam zdrowa i młoda, a swobodny i niezależny tryb życia, jakie prowadziłam, odpowiadał całkowicie moim latom i mojemu naówczas usposobieniu.

Tym rzeczom trzeba też z kolei poświęcić nieco miejsca. Stanowią one niby mój drugi Lublin, tkwiący w pierwszym jak chińskie jajko w jajku.

Więc najpierw moje sprawy najściślej osobiste. Marian przebywał wciąż w Piotrkowie i chociaż ciągle przemyśliwaliśmy nad jego sprowadzeniem się do Lublina, nie dawało się to jakoś urzeczywistnić. Do placówki Departamentu wejść nie chciał, nie było tam zresztą poza wątłą akcją werbunkową nic do roboty. Wydział Narodowy, wskutek niemożności jawnego prowadzenia walki o Polskę na dwa fronty, zdradzał coraz większą skłonność do zapadania w podziemia konspiracji, a na zewnątrz skazany miał być — łatwo to było przewidzieć — na stopniowe, do czasu, jałowienie. Biedny Marian był już tak bardzo przesycony wieloletnią konspiracją swej pierwszej młodości, że nie mógł się jakoś na nowy cykl tego rodzaju życia zdecydować. Dojrzewało w nim postanowienie wrócenia na front, jako jedyne wyjście z trapiącej go rozterki. Rozterki tej nie umniejszało bynajmniej niespodziane powikłanie w naszym życiu uczuciowym. Oto do Piotrkowa zjechała na dłuższy pobyt pani Stefania M [...], „pierwszy ideał" młodzieńczy Mariana sprzed jego czasów zagranicznych. Pani M., tzw. towarzyszka, a potem obywatelka Westa, była niegdyś w PPS, a potem w akcjach spod znaku Pierwszej Brygady — osobą pełną zasług wielkiego męstwa i ofiarnej służby. Była jedną z niewielu kobiet, które za tę właśnie twardą służbę otrzymały w następstwie krzyż Virtuti Militari. A nadto, jak się okazało, kochała się w dalszym ciągu w Marianie, pomimo blisko dziewięcioletniej z nim, zupełnej bez żadnego z obu stron znaku życia, rozłąki i pomimo, że ta miłość nie była nigdy w wiadomym sensie przeżyta.

Miałam ciężki orzech do zgryzienia. Miłości Mariana byłam więcej niż pewna, wierności pewną być nie mogłam, gdyż wydawała mi się ona w pewnych warunkach wprost niemożliwa do zachowania, a w zachowanej przez siłę widziałam bezpłodne i mogące się mścić okrucieństwo. Wymagać jej też nie mogłam i nie chciałam, było by to poniżej mojej dumy, zresztą wiedziałam, że gdzie się zaczynają wymagania, tam i kończy się miłość. Cierpiałam jednak oczywiście wszystkie, nieuniknione w takich okolicznościach, katusze zazdrości, obawy i niepokoju, zdając sobie sprawę, że nasza czarowna bliskość narażona jest na niełatwą próbę. Postanowiłam w końcu „spojrzeć w oczy niebezpieczeństwu" i — mając do wyboru spotkanie z Marianem w Lublinie lub w Piotrkowie — pojechałam do niego, jakoś w marcu, do Piotrkowa. Zastałam Mariena rozkochanego we mnie bardziej niż kiedykolwiek i raczej rozbałamuconego powierzchownymi flirtami bez znaczenia z rojem Departamentowych pań i panienek (przepadających za jego towarzystwem), niż pogrążonego w jakąś demoniczną i wyłączną namiętność. Swoją drogą wyznał mi od razu, że czułe stosunki z panią M. „posunęły się za daleko", ale że właśnie tylko co „spalił za sobą wszystkie mosty". Miał „złe chwile", lecz „Rubikon nie został przekroczony", a teraz już rozproszyło się to „widmo przeszłości raz na zawsze". W dalszym ciągu zwierzeń dowiedziałam się, że sprawy istotnie posunęły się „dość daleko", gdyż pani M. zażądała ni mniej ni więcej tylko rozejścia się Mariana ze mną i ożenienia się z nią, co postawiła jako warunek zaryzykowania swej cnoty. „Byliśmy wtedy na spacerze — opowiadał mi Marian. — Osłupiałem tak, że o mało nie złamałem jakiegoś młodego drzewka, o które się oparłem. Postąpiłem ordynarnie. W odpowiedzi zaproponowałem jej schadzkę, na którą oczywiście nie przyszła. O, nie, na to jest aż zanadto drobnomieszczańska, mimo wszystkie heroizmy".

Byłam zdumiona i zgorszona tym, że można komuś zaproponować rozejście się z żoną, nie wiedząc, czy nie łączy z nią największa w świecie miłość. Ale właściwie uważałam, że pani M. postąpiła tak, jak była powinna i zgodnie ze swym heroizmem, i że Marian nie był w porządku. Nie sądziłam go jednak, o nic, ponad to, co

mi sam powiedział, nie pytałam, do dziś nie wiem i nigdy już nie będę wiedziała, jak się rzeczy w istocie miały, co Marian chciał mi oszczędzić, co przemilczał, lub w czym przesadził. Ponieważ jednak był zawsze bez ogródek szczery w mówieniu ze mną o sobie, uważając mnie za istotę zdolną znieść każdą prawdę i raczej się zwykle oczerniając niż wybielając w myśl swego ulubionego przysłowia: „Poliubite nas czarnieńkimi, bieleńkimi wsiakij nas poliubit", ponieważ nadto kochał mnie coraz bardziej — nie miałam nigdy więcej powodu zawracać mu głowę tą sprawą. Zwłaszcza, że niebawem pani M. wyjechała z Piotrkowa i, o ile wiem, Marian nigdy już więcej z nią się nie widział.

Ja zaś poznałam tę interesującą kobietę właśnie wówczas w marcu, w czasie mojego pobytu w Piotrkowie. Wiedziałem, że słynęła z urody (kochał się w niej m.in. na zabój Walery Sławek [1]) za młodu) i rzeczywiście, choć Marian uprzedził mnie, że „się bardzo na niekorzyść zmieniła", zachwyciłam się jej widokiem, gdyż pomimo, że delikatną cerę okrytą miała wiosennymi piegami, była nie tylko śliczna, lecz i ogromnie w moim guście. Miała lekkie jak światło bardzo jasno-popielate włosy, zupełnie zielone oczy, ściągłą twarz o niezwykle subtelnych rysach, maleńkie przecudne usta. Poznałam ją na raucie czy przedstawieniu przy stoliku z programami albo innymi figielkami, sprzedawanymi na jeden z tysiącznych „celów" ogólnej natury. Byłam strasznie zmieszana i nadrabiałam to dziecinnym wprost, pełnym pustoty humorem, który mi zjednał na tej zabawie duże powodzenie, a u pani M., jak mi ktoś potem powtórzył, opinię osoby frywolnej i niepoważnej. Natomiast ona, nie wiem, czy tylko wobec mnie, czy w ogóle, zachowanie się miała prawie ponure, szorstkie i ledwie że uprzejme. A swego zdenerwowania do tego stopnia ukryć nie mogła, że kiedy potem spotkałam ją na tzw. „proszonej" kolacji u Kazimierzostwa Rudnickich, u których mieszkała (siedziałyśmy przy stole naprzeciwko siebie) nagle zerwała się i ku zakłopotaniu całego towarzystwa wyskoczyła z pokoju. Szalenie mnie to stropiło, a jeszcze bardziej to, że Marian musiał w końcu po nią iść, żeby ją z powrotem do stołu sprowadzić, gdyż nikt inny nie mógł tego dokazać. Wróciła zupełnie jak rozdąsane dziecko, czerwona i oczu na nikogo nie podnosząc.

Marian później powiedział do mnie z tego powodu: — „Zhisteryzowana baba i zupełnie już zmielona przez tę całą „robotę". — A co sobie przy tym myślał, nie wiem i nigdy już się nie dowiem. Jużcić nie musiało mu być lekko na sercu. Trzeba dodać, że Marian był przyjacielem p. Stanisława M[...] i rzeczywiście na ołtarzu tej przyjaźni złożył był niegdyś miłość do tego swego „pierwszego ideału".

c.d.n.

1) Wanda Papiewska, zasłużona działaczka spółdzielcza i robotnicza, siostra J. Hempla. Ona zorganizowała w marcu i kwietniu 1916 r. prelekcje Dąbrowskiej w Lubelskim Stowarzyszeniu Spożywczym (z historii kooperacji) i w Uniwersytecie Ludowym (z przeszłości wsi polskiej). Na marginesie wywiadu W. Papiewskiej Dąbrowska sprecyzowała podziały, jakie wówczas w ruchu spółdzielczym występowały (por. „Do redakcji Społem", w „Pisma Rozproszone", t. I 1956).

2) Jan Hempel (1877—1937) — znany działacz i ideolog spółdzielczy i robotniczy. Po powrocie z zagranicy, gdzie studiował filozofię, literaturę i religioznawstwo, osiadł w 1910 r. w Lublinie; rozwijał tu Towarzystwo Oświatowe „Światło" (którego prezesem był St. Żeromski) i redagował „Kurier Lubelski". W 1912 r. współzałożyciel lubelskiej spółdzielczości spożywców. Wokół niego skupiła się grupa młodzieży robotniczej, m. in. B. Bierut, Z. Modzelewski, J. Dominko. Następnie w Warszawie organizował spółdzielczość klasową. Od 1921 r. w KPP, której stał się wybitnym publicystą i redaktorem („Kultura Robotnicza", „Kultura", „Zwiągnia", „Miesięcznik Literacki"). Należał do kierownictwa KPP; wskutek represji od 1932 na emigracji w ZSRR, gdzie został bezpodstawnie skazany, a po latach rehabilitowany. Autor wielu książek społeczno-ekonomicznych i pośmiertnie wydanych „Listów do siostry (W. Papiewskiej)". Postać popularna wśród rewolucyjnych pisarzy, m. in. przejawiająca się w wierszach W. Broniewskiego.

3) Walery Sławek (1879—1939) — działacz i bojowiec PPS, później PPS-Frakcji Rewolucyjnej, legionista. W początkach niepodległości oficer do szczególnych zleceń Naczelnika Państwa; następnie prezes Związku Legionistów oraz Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR). Jeden z głównych filarów sanacji. Dwukrotnie premier rządu i marszałek sejmu; po śmierci J. Piłsudskiego pretendował do prezydentury. Popełnił samobójstwo.

Adam Decowski

AUTOKRYTYKA

moim najpiękniejszym
wierszem
przetłumaczonym we wszystkich
językach świata
do którego
nic ująć
nic dodać
jest
kropka

* * *

jestem
jak opuszczony dom

ciągle jednak
słyszę
kołatkę serca

otwieram

nikogo
nie ma

WEJŚĆ W TEN LAS

Andrzejowi Zieniewiczowi

Tak rzadko
udaje mi się
wejść w ten las

jestem wtedy jednym z drzew
z liści strzepuję sen
a na gałęzi czuwający dzięcioł
coraz mocniej stuka
w pień mojego ciała

jeszcze tylko ostrze wyobraźni
odszuka białą polanę
i rozżarzy się wiersz
w którym spalę źdźbło
swojego wzruszenia

Roman Gorzelski

PLOTKA

Kupował jej buty
kupował jej książki
kupował jej pierścionki i futra
nawet psa jej kupił którego ona
brała na ręce i tuliła jak dziecko
— odeszła od niego z włóczęgą z wiatrem
w kieszeniach: tak mówiły stare kobiety
i dziwiły się i ciągle tylko o tym
mówiły

Eugeniusz Mitaszko

JESTEM

jestem królem więc rozkazuję
dla króla imperium łez

jestem górą więc się wywyższam
dla góry przepaście poniżenia

jestem żołnierzem więc umieram
dla żołnierza kula przypadku

jestem rybą więc milczę
dla ryby ocean strachu

Jarosław Borszewicz

* * *

żyję
na wszelki wypadek

czekam na TO
TO czeka na mnie

jestem obecny
nie usprawiedliwiony

przeżywam
i jestem przeżywany

żyję
nie po raz pierwszy
i przecież
nie po raz ostatni

KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI ● KSIĄŻKI

Kicz

NIECH mnie klakierska krytyka literacka rozszarpie na strzępy: Wojciech Żukrowski miał zawsze skłonność do kiczu. Co to jest kicz? Wszystko w nadmiarze. Jakby efekt artystyczny osiągało się samym nagromadzeniem, przeładowaniem ilościowym.

Kiedy jeszcze czytałem „Z kraju milczenia", „Dni klęski", opowiadania z tomu „W kamieniołomie", wydawało mi się, że muszę mieć pretensję do siebie: widocznie nie wystarczająco dostrzegam świat, skoro dopiero spod pióra pisarza widzę obraz takiej jego urody. W końcu przyszło otrząśnięcie się. Jako czytelnik powiedziałem „dzień dobry". Jeśli wszystko nie tylko tęczuje, dźwięczy, pachnie, błyska i pryska, jest tu coś nie w porządku. I nie chodzi o samą skłonność (sensualistyczną). Są pisarze, którzy odbierają świat bardziej zmysłami, aniżeli jakąkolwiek inną dyspozycją, i żadnej dysproporcji się nie wyczuwa. Rzecz w tym, że tu jest maniera. Kiedyś Kałużyński pisał o naciąganej stylistyce filmowej, według której ktoś umierający z pragnienia, jeśli się dorwał do wody, pije ją tak łapczywie, że przez rozlanie połowę traci, zamiast ani kropli nie uronić; jeśli nędzarz dorwał się w końcu do forsy, wymachuje nią tak euforycznie, że dziw, iż w ogóle jakiś banknot przy nim zostaje. To samo Żukrowski. Łatwy gest literacki, tanie efekciarstwo, instynktownie realizowany postulat „życia, życka, życiątka". W ten sposób autor stara się być „nieoficjalny", nieprofesjonalny, trąca w łokieć czytelnika i proponuje mu „żytko" swojej fascynacji „urodą" świata, (Cudzysłów, bo chodzi o tę zakłamaną w duchu „prostoty").

Poświęca dla tego celu coś tak elementarnego, jak prawdopodobieństwo sytuacji. Np. treścią powieści „Plaża nad Styksem" jest międzynarodowy kongres pisarzy. Oczywiście akcent położony na kuluarach. Ale cóż. Ci pisarze, z których jeden jest Serbem, drugi Hiszpanem, trzeci Anglikiem, czwarty Rosjaninem itd., nie tylko najswobodniej, bez tłumacza się porozumiewają, ale wiedzą o sobie od strony familijnej tyle, że kongres pisarzy jest właściwie zjazdem rodzinnym. Drinki, przycinki, wspomniki. Aż dziw bierze, jaki ten świat jest łatwy. Po cóż w takim razie z przekąsem mówić o realiźmie magicznym literatury południowo-amerykańskiej? Mamy coś takiego u siebie. W najlepsze wydajemy i w najlepsze omawiamy. Z uznaniem dla chłonności pisarza, którego nikt nie zechciał przyłapać na bladze.

Żukrowski wydał ostatnio powieść „Zapach psiej sierści". Oczywiście — komiksowy wątek sensacyjny. Jakżeby nie! Przebywający na wakacjach w Bułgarii rzeźbiarz natrafia na ślad handlarzy narkotyków. Nawet kradnie im część schowanego towaru, ukrytego pod wodą w morskiej zatoczce. Ale wywieźć i samemu sprzedać? Ryzyko. Postanawia więc sprzedać... tymże handlarzom. To niby bez ryzyka. Wobec faktu, że zamordowali swego niepewnego wspólnika. Rzeźbiarz jest z niemiecką dziewczyną, z którą wchodzi w wiadomą zażyłość, nawet nie poznawszy jej nazwiska. Dziewczynę porywają przemytnicy, chcąc odpowiedzieć szantażem na szantaż. Rzeźbiarz ani drgnie. Jest dalej pewny swego. Nie uzbrojony, samotny, pewny swego wobec ciemnych typów zdecydowanych na wszystko. Dziewczyna zostaje pobita, dostaje jakiś oszałamiający zastrzyk — wszystko bez skutku u rzeźbiarza. Ten chce wysokiego okupu. Dla uzyskania niezależności wobec znienawidzonych mecenasów sztuki. Jest popierany, wystawia w kraju i zagranicą, posiada tzw. pozycję, ale mecenasów nienawidzi, bo inaczej nie byłoby „wątku".

Nie warto jednak streszczać powieści, już nawet z tych przytoczeń widać jak naciągniętej. Popatrzmy na „artystyczną" realizację. Właściwie należałoby tu przepisać co najmniej połowę książki, ale pozostańmy przy co celniejszych, a i tak reprezentacyjnych wyjątkach.

Str. 53: „Z chwastów, szeleszcząc i roztrącając grube liście podbiałów, wypadł pies rozradowany i zawstydzony, że wcześniej pojawienia się pana nie zauważył". Wnikliwość psychologiczna? Tak, bo psychologia to nauka o psach.

Str. 90. Mowa o muchach, które pchały się do ust plażowiczów: „Może olejek im smakował albo kleista ślina w kącie spieczonych warg?" Ekspresyjniej zamiast o kleistej ślinie byłoby mówić o pozostałości po wymiotach.

Na str. 119 jest mowa o umierającej żonie rzeźbiarza. Oto słowa kobiety mającej umrzeć za kilka dni: „Przecież możesz ich mieć, ile zechcesz, proszę cię, ze względu na Julka, nie spiesz się... Nie bierz zaraz innej". W dodatku nic nie było o skłonnościach do małżeńskiej niewierności rzeźbiarza. Ale co by inaczej było ze stylem który ma być „dobitny", „giętki" i „chwytliwy".

Na str. 121 już prawie agonia. Obecny przy tym rzeźbiarz, wzywa pomocy pielęgniarki. Jej odpowiedź: „Tu i konsylium nie pomoże — uśmiechnęła się z bezmyślnym okrucieństwem. — Przecież pan widzi jak jest".

Na str. 156 jest mowa o mszy żałobnej za warszawskich powstańców odprawianej w bułgarskim kościele, o czym ksiądz powiadomił zebranych w języku niemieckim. A nie warto by dodać ministranta — laotańczyka?

Str. 167. Tu przepraszam za długi cytat. „Doszło — pochwyciła jego dłoń leżącą na wodzie, ścisnęła wybrany, serdeczny palec rękami. To jest za proste, żeby mogło się spełnić... Czuję się wodzona na pokuszenie albo jak człowiek, który dotarł do grani, widzi w dole upragnioną rajską dolinę i nie obejrzy się na nic, bo i z tyłu przepaść ciągnie, a przed nim nie ma drogi, tylko stromizna..." Tak, takim Proustem rozmawia się, płynąc w morzu.

Str. 179 Znów wszystkowiedzący autor zaglądnął pod czaszkę psa. Pies „naszczekiwał naglące, on też wiedział, że już pora, by wracali na camping, czas zakrzątnąć się koło kolacji".

Na str. 247—248 jest mowa o pewnej „obietnicy" danej dzieciom przez strażnika campingu. Stażnik ów miał psa, którego z końcem turnusu postanowił zabić. Oto jak zachęcającymi słowami maluje atrakcyjne widowisko: „Jak się dowiedziały, że z nim zrobię porządek, to zaczęły prosić, żebym im pokazał, jak go będę na drucie wieszał, bo nie zarżnę, żeby skórki krwią nie spaprać. Jak już dynda, to wtedy łapami przebiera, aż śmiech bierze patrzeć, ucieka, ucieka przed śmiercią co już go za grdykę ucapiła". Z jaką aprobatą, z jaką lubością autor maluje tę scenę. Pisarz, propagator pojęć moralnych, humanista. W pisarstwie Żukrowskiego, które — powtórzę — w końcu okazało się kiczem w całej rozciągłości, nie pamiętam ani jednego odruchu sprzeciwu wobec rozlanej krwi, brutalnego ciosu, drastycznej przemocy. Nie, bo to lepiej idzie pod pióro. Więc cóż niewrażliwość moralna, skoro triumfuje „wrażliwość" zmysłów!

Istnieje pewna część pisarzy, którzy przyjęli, że pisarz popularny to pisarz dla czytelnika czwartego sortu. Żukrowski do nich z uporem należy.

Zygmunt Mikulski

Wojciech Żukrowski: Zapach psiej sierści; Warszawa 1969, Czytelnik.

Kamena str 7

DWUDZIESTA SIÓDMA WOŁYŃSKA

Dokończenie ze str. 1

mysłu. 14 lipca 1939 roku w ramach cichej mobilizacji zostałem powołany do 5 pułku Strzelców Podhalańskich, a 31 sierpnia znalazłem się w szeregach Armii „Kraków" na linii spodziewanego frontu nad Białą Przemszą koło Trzebini. W szeregach tej Armii walczyłem w Kampanii Wrześniowej w walkach odwrotowych. Doszedłem do Łańcuta, skąd na skutek odparzenia nóg i skomplikowania się sytuacji frontowej dotarłem w mundurze i na koniu do rodzinnej wsi. 20 października ruszyłem na zachód, przekroczyłem nielegalnie granicę w Wetlinie i znalazłem się na Węgrzech. Następnie przez Budapeszt, obóz dla jeńców polskich w Szop, przez Jugosławię, Włochy (jako młody robotnik) dobrnąłem do Francji. Tu wkrótce otrzymałem przydział do 2 dywizji piechoty (kompania ppanc w 4 pułku) dowodzonej przez gen. Prugar-Ketlinga. Gdy nastąpiło natarcie Niemców na Francję, zostałem skierowany do 11 francuskiej dywizji piechoty, na odcinek Compagne, gdzie brałem udział w krwawych walkach. Po kapitulacji Francji (właśnie w lasku Compagne) z 28 ochotnikami przedzierałem się do portu Bordeaux, skąd udało się nam w ostatniej chwili przedstać do Anglii. Tym sposobem stałem się żołnierzem obrony wybrzeża Szkocji, aby później założyć mundur Batalionu Podhalańskiego. W jesieni 1940 roku zaproponowano mi przejście do pracy w krajowym podziemiu. Po wyrażeniu zgody znalazłem się w głęboko zakonspirowanej grupie, gdzie szkolono nas w posługiwaniu się spadochronem, w walce wręcz, metodach konspiracji, strzelectwie, minerstwie, dywersji, łączności oraz bytowaniu w terenie. Egzamin zdawałem z „wysadzenia" strzeżonej poczty na terenie Szkocji.

Z. M.: — Czym kierowano się, wybierając ludzi do tak trudnych zadań?

M. F.: — Trzeba było być już ostrzelanym w walce, lojalnym wobec Rządu Polskiego na Emigracji, a szczególnie wobec Wodza Naczelnego, gen. Władysława Sikorskiego, oraz sprawnym fizycznie i psychicznie do walki w specyficznych warunkach. Nie brano natomiast pod uwagę pochodzenia klasowego czy choćby powiązań partyjnych. Ja byłem sympatykiem ruchu ludowego.

Z. M.: — Z okresu pana szkolenia w Anglii znam niezwykle ciekawe zdjęcie, które było chyba w tym okresie jednym z najtajniejszych ...

M. F.: — Widać na nim generała Sikorskiego oraz grupę cichociemnych. Spotkanie to odbyło się 20 sierpnia 1942 roku w miejscowości Audle End, tuż przed odlotem do kraju. Sikorski odznacza mnie za kampanię francuską Krzyżem Virtuti Militari V klasy oraz Krzyżem Walecznych. Po uroczystości generał poszedł z nami na spacer do parku, prosząc o pytania. Interesowały nas przede wszystkim stosunki polsko-radzieckie. Dokładnie pamiętam jego słowa: uzasadniał swoją politykę wobec Związku Radzieckiego i prosił z naciskiem o „przekonanie społeczeństwa w kraju o potrzebie porozumienia się z ZSRR". „Nie stać nas — stwierdził — na wieczną wojnę. Bardzo zabiegam o doprowadzenie do przyjaźni z tym krajem. Ale nie chcę być wasalem". Mówił też o odrzuceniu układu Ribbentrop-Mołotow. Spotkanie było wzruszające i nigdy nie zapomniane. Wielu cichociemnych z tego zdjęcia poległo w walce, ich nazwiska umieszczono na tablicy pamiątkowej w kościele św. Jacka na ul. Freta w Warszawie. O niektórych mówi książka „ZWZ i AK w okręgu lubelskim", której pan jest współautorem.

Z. M.: — Kiedy i w jakich okolicznościach znalazł się pan w okupowanym kraju?

M. F.: — Zostałem zrzucony na spadochronie jako cichociemny w nocy z 1 na 2 września 1943 roku w pobliżu Piaseczna, około 15 km od Warszawy. Nie brakło przy tym mocnych emocji.

Michał Fijałka

Fot. W. Stępień

Z. M.: — Czy zrzucano was na ślepo?

M. F.: — O nie! Wylądowaliśmy niemal „w objęciu" placówki AK w Nadleśnictwie Łoś i Bogatki. Była to znakomita placówka i do dziś odczuwam dla niej podziw i wdzięczność. Wkrótce po wylądowaniu zostałem skierowany do dyspozycji Komendy Głównej AK w Warszawie, a ściślej — do akcji „Wachlarz", której zadaniem było organizowanie siatki wywiadu oraz dywersja na tyłach posuwających się w głąb Związku Radzieckiego armii niemieckich. W ramach tej akcji brałem udział w znanej, brawurowej akcji odbicia więźniów w Pińsku 14 stycznia 1943 roku; opisał ją chyba najlepiej C. Chiebowski. Zdołaliśmy wówczas odbić dwóch dowódców AK z okręgu Pińsk i rozpuścić całe więzienie. Plan tej akcji opracowałem na polecenie cichociemnego „Donata".

Z. M.: — Jakie były pana dalsze losy?

M. F.: — Po „wpadce" moich konspiracyjnych papierów na wyjazd do Szepetówki skierowano mnie do Kowla na funkcję zastępcy tamtejszego Inspektora AK. W końcu lipca 1943 roku polecono mi organizować oddziały partyzanckie oraz bazę samoobrony przed uderzeniami UPA w rejonie Zasmyk. W październiku zostałem w walce ciężko ranny i przez dłuższy okres leczyłem się w Kowlu.

Z. M.: Dochodzimy już do dziejów 27 Dywizji, której poświęca pan obecnie tyle czasu. W jakich okolicznościach trafił pan do tej wspaniałej jednostki?

M. F.: — Kiedy leczyłem się z ran, dotarł do mnie rozkaz komendanta Okręgu Wołyń, płk Kazimierza Bąbińskiego ps. „Lubań", o powszechnej mobilizacji członków Armii Krajowej, z których miała powstać dywizja. Zostałem od razu mianowany dowódcą I Batalionu 50 Pułku Piechoty tej Dywizji i na tym stanowisku walczyłem do końca jej działań.

Z. M.: — Obecnie zajmują się ostateczną redakcją przygotowanego przez pana do druku przeszło 200-stronicowego zarysu Dziejów dywizji. Może zechce pan przedstawić czytelnikom „Kamieny" najważniejsze fakty z dziejów tej formacji.

M. F.: — Oficjalnie Dywizja została powołana jako zgrupowanie oddziałów partyzanckich AK na Wołyniu 16 stycznia 1944 roku. Miano dwudziestej siódmej zyskała 12 lutego tegoż roku. Wtedy też otrzymała etaty wojskowe, obsadę, odznaki itp. Na jej czele stanął sztab dowodzony przez dowódcę Dywizji. Funkcję tę kolejno pełnili: płk „Luboń" — Kazimierz Bąbiński, płk dypl. Jan Wojciech Kiwerski ps. „Oliwa" (pochodził z Lubelszczyzny, zginął w walce na Wołyniu 18 kwietnia 1944 roku), mjr Jan Szatkowski ps. „Kowal", mjr Tadeusz Sztumberk-Rychter ps. „Żegota" (pozostawił publikowany pamiętnik „Artylerzysta piechu-

Trują - nie trują?

Dokończenie ze str. 1

emitorów zanieczyszczenia mogą wylatywać poniżej normy. Nic nie pomoże, że z samolotów rozpylamy mineralne nawozy fosforowo-potasowe. Wystarczy jeden dzień awarii w zakładach, żeby pożółkł las, który rósł od sześćdziesięciu lat. Tak zdarzyło się w sierpniu ubiegłego roku. Był okres gigantomanii, stawiało się kolosy — teraz jest kłopot. Taki przemysł powinien być w mniejszych dawkach i ewentualnie dalej od drzewostanu. Zakłady Azotowe powinien spotkać los huty Skawina, choć gdyby nie były, jakie są, nie byłoby Puław. Podziwiam piękne miasto, ale żałuję lasu.

W Instytucie Gleboznawstwa prof. Tadeusz Witek opowiadał swoje spostrzeżenia z dystansem do rzeczywistości, jaki daje naukowa dalekowzroczność, z ekonomicznego punktu widzenia uznawana za przewrażliwienie.

— Emisja dość duża — twierdził — i awarie, o których się mówi, albo nie, a które muszą się zdarzać w miarę starzenia się instalacji. Wiemy, że pewne odcinki instalacji powinny być już wymienione. Są dwa, trzy dni w roku takie, że w Puławach nos zatyka. To zależy od pogody. Ale gdy zdarzy się awaria: nadprodukcja amoniaku, druga nitka nawaliła — nadmiar musi pójść w powietrze. Nie ma cudów. I to są te dodatkowe dni, które też rozpoznajemy. Tu przydałaby się obiektywna kontrola, niezależna od Azotów. Wojewódzki Ośrodek Badań i Kontroli Środowiska przyjeżdża od czasu do czasu. Tu przydałaby się kontrola monitoringu, non-stop. Wtedy zniknąłby problem wiarygodności danych z Zakładów Azotowych o stopniu zanieczyszczenia powietrza.

Występowanie w glebach dużej koncentracji azotu sprawia, że szkodliwe związki azotu przedostają się do wody pitnej. Z tego powodu puławski Instytut Gleboznawstwa zgodził się na wyciąganie azotu z gleby poprzez trawę uprawianą w rekultywacyjnym gospodarstwie przy Zakładach Azotowych. Popularnie mówiąc, azot pędzi zielone, więc czterokrotny pokos traw jest obecnie jedynym wyjściem. Oczywiście, trawa musi być wywieziona i tylko w odpowiednim procencie może być dodawana do pasz.

Ponieważ w przyrodzie nic nie ginie, nie można dopuścić azotu w głąb ziemi do wód gruntowych. Jednak wcześniej czy później ilość przechodzi w jakość. Dlatego dr Zygmunt Jakubczak załamywał ręce nad stworzeniem pustyni wokół Azotów i odkryciem skały macierzystej.

— Trzeba zwalczać przyczyny, a nie skutki — mówił on w obronie naturalnej roślinności, która mogła przekształcić się w formy industrialne; pod karłowatą i płożącą się postacią zakrywać i chronić glebę. — Tymczasem usunięto resztki substancji organicznych — ciągnął dr Jakubczak — będzie się nawoziło mady, stawiało deszczownie, a koszt inwestycji rekultywacyjnych przekroczy 100 milionów złotych. Jako roślinnik myślałem inaczej. Więc zapłacimy za transport i pozyskanie substancji, które dadzą nową glebę. A będą to odpady z elektrociepłowni, no i w tych popiołach też są niebezpieczne składniki, groźne związki pierwiastków z odpadów paleniskowych. Nie jest to sytuacja alarmująca — zastrzegł się doktor. — Wszędzie nie da się uniknąć zagrożeń.

W odległości 600 metrów od Zakładów Azotowych rocznie spada na hektar lasu 400 kilogramów azotu.

— My już od paru lat na terenie zakładu hodujemy zboże, które potem dostarczamy do PGR Przytoczno, gdzie karmi się tuczniki dla naszej stołówki. Nie mamy interwencji ze strony PGR — stwierdził główny technolog zakładów, Zbigniew Schimmelpfennig.

W tym samym temacie wypowiedział się prof. Tadeusz Witek.

— Nawet częstowali pomidorami. Ale jak stołówka wzięła ogórki, nie mogły się zakisić. Pewnych spostrzeżeń nie wolno lekceważyć. Nadmiar azotu nie jest przetwarzany w roślinie, kumuluje się w formie azotanowej. Znamy to z nieuczciwego stosowania agrotechniki wobec dostaw na „zielony rynek". Trzykrotnie wyższe dawki azotu w produkcji sałaty, duże pieniądze, a konsekwencje ponoszą na przykład dzieci i karmiące matki. Jest to efekt ogólnego braku kultury technicznej i wyobraźni, co w indywidualnych przypadkach może się smutno skończyć. Zdrowy sposób widzenia byłby bardzo pożądany również za biurkami managerów wielkiego przemysłu. Nie musimy koniecznie doświadczać zagrożeń, możemy również je przewidywać i dlatego bez szkodliwych emocji stawiajmy hipotezy. Hipoteza może się sprawdzić, może nie — jednak rozpatrzmy ją.

— Na początku lat siedemdziesiątych studenci UMCS badali wiewiórki i myszy w bezpośrednim sąsiedztwie Azotów. Nie przeceniając ich prac, trzeba przypomnieć, że zauważyli liczne występowanie nowotworów u tych zwierząt. Mówi się też, że z powodów nowotworowych cierpią mieszkańcy Końskowoli. Zaznaczam, panie profesorze, nie są to opinie miarodajne.

— Z pyłami unoszą się cykliczne związki organiczne, niektóre z nich podejrzewa się o działanie rakotwórcze — powiedział prof. Tadeusz Witek. — W świecie prowadzi się badania i pierwsze wyniki są pesymistyczne. Nawiasem mówiąc, wysłaliśmy mocno skażone pyłami gleby do badania i takie związki wykrywa się.

— Czy były to gleby z okolic Puław?

— Nie. Ale ciągle nie wiemy, co wylatuje z naszych kominów, jak to się dalej łączy i jak szkodzi. Oczywiście normy normami, a wrażliwość roślin wrażliwością. Człowiek jest odporniejszy.

Również i w Zakładach Azotowych główny technolog, Zbigniew Schimmelpfennig, i główny specjalista ds. ochrony środowiska, Stanisław Piwko, zdawali sobie sprawę z względności kalkulacji w skażeniu otoczenia.

— My nie przekraczamy norm — zaznaczyli. — A środowisko nie wytrzymuje. Saletra nie jest pyłem toksycznym, a pył nietoksyczny nierówny pyłowi nietoksycznemu. Gleba glebie nierówna. Nastąpiło przedawkowanie w stosunku do możliwości wchłonięcia. Kiedy zadecydowano o lokalizacji Zakładów Azotowych w Puławach, ważne było nie tylko to, że las był gospodarczo nieefektywny, ale że ze względu na dużą głębokość wód podskór-

Kamena str. 8

rem") oraz — już w czasie walk na Lubelszczyźnie — płk Jan Kotowski ps. „Twardy". W skład Dywizji weszły następujące większe jednostki: zgrupowanie „Gromada" w składzie — 50 pułk piechoty, 43 pułk piechoty w sile 2 batalionów), szwadron ułanów, pluton rozpoznawczy, kompania łączności, saperów, pluton żandarmerii i inne; zgrupowanie „Osnowa" w składzie — szwadron 19 pułku ułanów, I batalion, 24 pułku piechoty, I i II batalion 23 pułku piechoty i inne. Oprócz tego przy sztabie istniał Batalion Dyspozycyjny z 1/45 pułku piechoty i inne pododdziały dyspozycyjne. Trudno je tu wszystkie wymienić. Ogółem w szczytowym okresie Dywizja liczyła ponad 6,5 tys. żołnierzy, w tym 126 oficerów i 520 podoficerów. Posiadała świetną organizację, wewnętrzną dyscyplinę, ducha bojowego i wysokie morale. Na drogach swego marszu, w ciężkich działaniach przeszła ponad 500 km, była trzy razy w okrążeniu, stoczyła ponad 20 bitew i większych potyczek, tracąc w walce ponad 600 żołnierzy i oficerów oraz tyleż rannych (sporządziłem szczegółowy wykaz nazwisk, pseudonimów i okoliczności śmierci). Są to dzieje trudne już dziś do odtworzenia.

Z. M.: — Z tego, co wiemy o dziejach tej Dywizji — o niej stosunkowo mało, czasem krzywdząco, niekiedy wręcz błędnie — wynika, że na drogach swej walki „27" współdziała z partyzantką radziecką oraz regularnymi jednostkami Armii Czerwonej.

M. F.: — Tak! Na Wołyniu mieliśmy zupełnie poprawne stosunki z operującymi tam oddziałami i zgrupowaniami partyzantki radzieckiej, w tym ze zgrupowaniami gen. Fiodorowa, płk. Karasiowa (m. in. budowaliśmy im most przeprawowy), płk. Fiodorowa, płk Iwanowa, płk. Bujnowa, Kapłona, Czornego, Mirkowskiego i szeregu innych. Wiele z tych oddziałów przeszło na Lubelszczyznę i są już w literaturze dobrze znane, m. in. z pana książki „Między Wisłą a Bugiem 1939—1944". Jeśli zaś chodzi o regularne jednostki Armii Czerwonej, to z chwilą przerwania frontu na Wołyniu wiosną 1944 roku współdziałaliśmy w walce z Niemcami z 54 i 56 pułkami Kawalerii Gwardyjskiej. To właśnie razem z nimi wyzwalaliśmy Turzysk, Włodzimierz Wołyński i szereg innych miejscowości. Wiązaliśmy siły niemieckie i zadawaliśmy im ciężkie straty. Mieliśmy z jednostkami radzieckimi wspólne sukcesy, ale i klęski. Był to bardzo trudny okres, walki trwały w okresie roztopów wiosennych, panował głód, front był nieustabilizowany, byliśmy w okrążeniu, a jednostki Armii Czerwonej utraciły więź z „ziemią". Mówię o okresie, gdy wojska niemieckie generała Walthera Modela podjęły ofensywne działania w rejonie Włodzimierz Wołyński — Kowel — Luboml... Między 27 Dywizją a oddziałami radzieckimi były i przejawy nieufności, które wynikały głównie z ogólnej sytuacji politycznej tego okresu (zerwanie stosunków dyplomatycznych między rządami Polski a ZSRR, sprawa granic), ale były też rzetelne żołnierskie współdziałania i wiele przelanej wspólnie krwi.

Z. M.: — Jak doszło do przedostania się oddziałów 27 Dywizji na Lubelszczyznę?

M.F.: — Po wyjściu ofensywy gen. Modela 27 Dywizja została zepchnięta i zamknięta w kompleksie leśnym Zamłynie-Ziemlica-Stężarzyce. Po tragicznej śmierci 18 kwietnia dowódcy „Oliwy" Dywizja zdołała się przebić na północ przez tor kolejowy Rymacze—Luboml i przeszła do Lasu Smolary, a następnie przeskoczyła do Lasów Szackich. Tu nastąpiło drugie okrążenie (20 maja) przez niemieckie jednostki pancerne i inne oddziały. Po ciężkich walkach Dywizja wyszła w dwu kolumnach z okrążenia. Jedna z nich — oddziały „Osnowy" — poszła na północny wschód w rejon Dywina na Polesiu, by w bardzo ciężkich bojach z licznymi stratami przejść na stronę radziecką. Druga, składająca się przeważnie z oddziałów „Gromady", po próbie przejścia w kierunku na

Baranowicze, nieudanej wobec zaryglowania przez Niemców drogi, skierowała się przez Bug na Lubelszczyznę. Działo to się głównie w dniach 9 i 10 czerwca. Wcześniej już przekroczył Bug Batalion 1/45 „Gzymsa" wraz z „Żegotą". Forsowaliśmy Bug w rejonie Włodawy, Sławatycz, Zabłocia, Kodnia, a nawet całkiem na południu, w rejonie Horodła i Dubienki. Łącznie na Lubelszczyznę zdołało się przedrzeć aż około 3 tys. żołnierzy, w tym wielu rannych, skrajnie wycieńczonych i chorych. Jednak dość szybko ta część dywizji, m.in. dzięki pomocy tutejszego społeczeństwa i placówek AK, doszła do siebie i po dołączeniu się rozproszonych oraz ochotników z Lubelszczyzny osiągnęła stan około 4,5 tys. żołnierzy. Dalej stanowiła więc jedną z najsilniejszych jednostek, jakie operowały na okupowanym terytorim Polski. Tu podjęliśmy działania bojowe i poczęliśmy przygotowywać się do realizacji najważniejszego zadania — drugiej fazy akcji „Burza". Przedtem jednak znaleźliśmy się w ponownym otoczeniu na obszarze Lasów Parczewskich. Wraz z nami zamknięto tu również oddziały partyzantki radzieckiej oraz Armii Ludowej pod dow. Grzegorza Korczyńskiego. 27 dywizja dokonała wyjścia z tego kotła w kierunku na Gródek—Juliopol i zatrzymała się w rejonie Dębicy i Zawady koło Czemiernik. Już jednak wtedy nastąpiła ofensywa Armii Czerwonej. Weszliśmy więc natychmiast do działań zdobywając Kock, Firlej, Kozłówkę, Kamionkę, a także współdziałając z miejscowymi siłami AK—Lubartów. Prowadziliśmy też rozpoznania na Michów, Kurów i Lublin. Front przeszedł bardzo szybko i działania ustały. Wojna de facto została dla nas zakończona. Sytuacja była złożona i surowy los nie pozwolił nam brać dalej udziału w walce z Niemcami. Dywizja wierna była przysiędze złożonej Ojczyźnie i Rządowi Polskiemu na Emigracji. W nocy z 25 na 26 lipca na rozkaz dowództwa Armii Czerwonej Dywizja złożyła broń, a następnie została przez płk. „Twardego" rozwiązana. Odbyło się to w Starym Tartaku koło Niemiec. Oficerowie otrzymali rozkaz udania się do Otwocka, część żołnierzy wstępowała w szeregi armii gen. Berlinga, inni poczęli szukać swojego miejsca w życiu wyzwolonego spod okupacji hitlerowskiej kraju.

Z. M.: — Jakie były pana losy po tej wielkiej wojnie?

M. F.: Wkrótce podjąłem pracę w szkolnictwie rolniczym w Bobowiskach pod Międzyrzeczem Wielkopolskim, a następnie w Lublinie. Ukończyłem Studium Nauczycielsko-Instruktorskie przy Wyższej Szkole Gospodarstwa Wiejskiego w Cieszynie, a następnie uzyskałem w Wyższej Szkole Rolniczej w Krakowie stopień inżyniera. W latach sześćdziesiątych, już jako kierownik internatu i nauczyciel w Technikum Mechanizacji Rolnictwa w Lublinie, ukończyłem pedagogikę na UMCS, uzyskując stopień magistra. W 1958 roku zostałem członkiem ZBoWiD, w 1973 roku odznaczono mnie Złotym Krzyżem Zasługi, w 1976 — Krzyżem Partyzanckim... Obecnie jestem na emeryturze. Cały swój czas poświęcam dziejom 27 Dywizji. Dzięki pomocy kolegów zdołałem zebrać już ogromny materiał, wiele relacji, wspomnień oraz ponad 200 zdjęć o unikalnej wartości. Swoje prace konsultuję z tymi, którzy przeżyli. Wszystko to wymaga ogromnego nakładu czasu, zdrowia i kosztów. Uważam to jednak za swój żołnierski i obywatelski obowiązek.

Z. M.: — Wiem doskonale, z jakim zapamiętaniem pan pracuje mimo nie najlepszego przecież zdrowia. Podziwiam pana jako historyk. To, co pan już zrobił, jest bezcenne, ratuje dla historyków i przyszłych pokoleń niezmiernie ważny fragment dziejów. Dziękuję za rozmowę.

---

nych mogliśmy wejść z ciężkim sprzętem. Nie zbadano wówczas czynników hydrologicznych i biologicznych — bez uprzedzeń na tyle rozbudowano zakłady, że rozmiar produkcji wzrósł z pierwotnej wersji 2,5 tys. ton nawozów dziennie do 6 tys. ton dziennie.

— Czy pomyślano o urządzeniach zabezpieczających środowisko?

— Oczywiście. W 1974 roku. Ale wymanewrował nas manewr gospodarczy. Trzeba było sprzedać dostawy zgromadzone na budowę specjalnej instalacji zabezpieczającej. I do dzisiaj obracamy się w sferze pobożnych życzeń. Zbudowana w 1967 roku instalacja produkująca saletrę kosztowała 560 mln. zł i dziennie dostarcza 3,5 tys ton. Instalacja ochronna, która miała powstać w 1974 roku, kosztowałaby 250 mln. zł i po siedmiu latach pozwoliłaby na odzyskanie 3 tys. ton saletry rocznie. To skala problemu. A opłacalność ekonomiczna będzie zawsze przeważała. Czy trudno wepchnąć drugą fabrykę na teren już wybudowanej, skoro się zmieści? W Puławach tak właśnie zrobiono.

— A tlenki azotu?

— One nie są obojętne, ale przecież normy są w porządku.

— Więc jest o'key?

— Nie, skoro lasu nie ma. Środowisko broni się do czasu. W deszcz tlenki azotu opadają pod postacią kwasu azotowego i porażają liście. Tak dzieje się w całej Polsce. Nie ma ekonomicznej instalacji przeciw tlenkom azotu. Zresztą mimo, że w Puławach mamy największą instalację kwasu azotowego w kraju, emitujemy mniej tlenku niż gdziekolwiek indziej. Mamy tylko z dwu kominów „lisie ogony" zawierające tlenki azotu. Motoryzacja i energetyka dostarczają ich więcej, chociaż dyskretniej. Poza tym pamiętajmy, że Zakłady Azotowe należą do tzw. pierwszej kategorii. W porównaniu do Chorzowa jest tu kryniczne powietrze. Opad pyłu wynosi 60 ton na kilometr kwadratowy w ciągu roku. Co to jest w porównaniu do 140 ton na kilometr kwadratowy w ciągu doby — jak w Chorzowie?

— Jak oceniają panowie piętnastoletnią działalność Zakładów Azotowych w aspekcie ochrony naturalnego środowiska?

— Źle nie jest. Ale chemia to chemia.

Także pracownicy puławskiej służby zdrowia rozpatrywali zagadnienie według wzoru: jakkolwiek, to jednak. Zastępca dyrektora ZOZ do spraw przemysłowej służby zdrowia, Roman Biołozór, przyznał, że choć w Tarnowie zastosowano normy najniższego dopuszczalnego stężenia chlorku winylu — kilkadziesiąt młodych osób musiało przejść na rentę. W rezultacie normy obniżono jeszcze dziesięciokrotnie. W Puławach nic drastycznego się nie zdarza. I żadnej choroby nie można jednoznacznie wiązać ze szkodliwością Zakładów Azotowych.

Na przykład alergie z powodu uruchomienia produkcji hydroksylaminy i kaprolaktamu mogą splatać się ze szkodliwością substancji chemicznych stosowanych w gospodarstwie domowym. Poza tym przy alergizacji na jeden czynnik może nastąpić przestrojenie na dotąd czynniki niealergiczne i kilka rent z tego powodu pracownicy zakładu już dostali.

Podobnie jest ze schorzeniami górnych dróg oddechowych — popularnie określanymi chorobą puławską. Występowanie ich mieszkańcy miasta kojarzą z sąsiedztwem Azotów, ale lekarze upatrują przyczyn także w zakażeniach wirusowych i bakteryjnych przenoszących się w dużych skupiskach dzieci, np. w żłobkach i ciasnych poradniach, nawet w skłonności młodego pokolenia do przeziębień, prowadzących czasem do przewlekłych bronchitów i alergizacji w płucach.

Ponieważ nie ma jednoznacznych dowodów na szkodliwe działanie Zakładów Azotowych, bo dotąd nie prowadzono żadnych badań, lekarze mówią tylko o tym, co widzą — np. o sporadycznych przypadkach methemoglobinemii u niemowląt (wielostronnego niedotlenienia organizmu) na skutek obecności azotynów w wodzie studziennej i w marchwi. Oficjalnie mówią bez komentarza, choć prywatnie, w wąskim kręgu znajomych, zastanawiają się, czy nie jest to wina puławskiej chemii. „Wieś chemią pachnąca", to parafraza rodem spod Puław, choć także może być adresowana do zdobyczy cywilizacyjnych w ogóle, które podstępnie niszczą naturalne środowisko człowieka.

Podobnie ambiwalentnie można konstatować niepowodzenia położnicze, których wzrost po uruchomieniu zakładów odnotował dr Jerzy Jaźwierski z puławskiego szpitala. Wzrost przypadków patologii ciąży utrzymuje się nadal, ale nie można kojarzyć go wyłącznie z Azotami. Jak stwierdził ordynator oddziału położniczego, dr Stanisław Skawiński, kobiety same sobie ukręciły bicz, biorąc na siebie połowę ciężaru materialnego utrzymania rodziny oraz lekceważąc swoje biologiczne możliwości. Poza tym, niezależnie od sąsiedztwa Azotów, wszędzie zauważa się ostatnio wzrost zaburzeń hormonalnych rzutujących potem na przebieg ciąży, z powodu których o młodej populacji mówi się: oj, to takie pędzone brojlery. A może liczne poronienia na terenie puławskiego ZOZ są wynikiem niedoborów genetycznych wynikłych z nagłego wzrostu liczby mieszkańców, nagłego wymieszania się struktur genetycznych, jak zdarzyło się w latach powojennych w Szczecinie?

Tak czy inaczej najwyżej można skonstatować, że mieszkańcom Puław i okolic pewne choroby dolegają bardziej niż innym. Czy jest już to problem czy jeszcze nie, nie wiadomo, ponieważ nie przeprowadzono żadnych kompleksowych badań. Wspomina się tylko inicjatywę zmarłego prof. Tyneckiego z PSK 1, który domagał się zrobienia analizy zdrowia kobiet w rejonie Puław w obawie przed szkodliwością zakładów. Inicjatywa ta została utrącona prawdopodobnie dlatego, że pierwsze lata rozruchu Azotów były niejednolicie toksyczne. Ponadto postawiono lekarzom retoryczne pytanie: Czy macie szansę na zamknięcie Zakładów Azotowych? Mimo to — jak mówi się w IUNGu — były prowadzone badania przez warszawski Instytut Matki i Dziecka na obszarach w kierunku północno-wschodnim od Puław, czyli w przeciwnym do róży wiatrów ochraniającej miasto. Na ich podstawie stwierdzono podwyższony poziom methemoglobiny u ludzi przebywających na stałe w objętej badaniami miejscowości. Czy podobne badania będą teraz wznowione? Czy w ogóle będą podjęte badania, które dadzą odpowiedź w sprawie szkodliwego oddziaływania Zakładów Azotowych?

Jakkolwiek nigdzie na świecie przemysł nie lubi badać swoich kłopotliwych śladów, w Puławach trzeba się tym zająć, chociaż zakłady są jeszcze młode, kadra nieschorowana, a mieszkańcy miasta może tylko cokolwiek przewrażliwieni. Niepewność jest nie mniej kłopotliwa niż pewność, która jeśli zapowiada niebezpieczeństwo — przynajmniej pozwala się przed nim bronić. A obrona to już zupełnie inne zagadnie.

Anna Bocian

Kamena str. 9

RYKOWISKO NA WĘGLU

Tadeusz Jasiński

MIEJSCE rzeczywiście dogodne. Nie tak wymarzone, jakby to było gdzieś w odległym lesie, ale myśliwskie pragnienia można spełnić nie bezpośrednio z okien komfortowo wyposażonego apartamentu, tam stosowniejsze są inne polowania. Do łownych borów można dojechać limuzynami. Zespół zabudowań rozmieszczono nad głębokim i stromym trawiastym jarem. Wądół ten żłobiły wody przez stulecia. Gdyby w parowie i na jego zboczach nasadziło się drzew, odgrodziłby on dość skutecznie utytułowanych gości od masy mieszkającej przy ulicach Staszica i Górniczej. To od strony Łęcznej. Od przeciwnej — sielski nastrój stwarzają także pola, uprawne, bezkresne, z tu i ówdzie rozłożonymi siedliskami gospodarstw. A p[illegible] drogi prowadzącej na Puc[illegible] do kopalni w Bogdance, istnieje również ponad półkilometrowy dystans. Tak, jak wspomniany jar, naturalną przegrodę od marności tego świata zapewnia rzeczułka Świnka, przepływająca całkiem blisko. Jest czysta, ma jeszcze dobrą wodę. Nieopodal wpada ona do głębszego i bardziej wartkiego Wieprza, który nadal szczyci się stosu[illegible]wo mało skażonym przepływem wod. Byłby więc możliwy spływ kajakami, łodziami, wedle życzenia. Do samej Świnki zaplanowano łagodne zejście, aby pan minister górnictwa i jego świta czasem nóżek nie zwichnęli. Przewidziano też na tym odcinku sztuczne spiętrzenie wody, bo latem mogłoby jej nie starczyć po kolana, nawet w samym jej korycie. W sumie więc pejzaż piękny, wręcz wymarzony.

Rzeka Świnka jeszcze czysta

— Miało to być rykowisko dla jeleni wyższego rzędu — usłyszałem od jednego z działaczy w Łęcznej.

A na miejscu, w samym ośrodku? O, przyrodę trzeba uzupełnić, wzbogacić. Spośród dziewięciu małych obiektów parterowych wzniesiono już siedem. Nawet w poprzednim okresie nie wypadało jawnie nazywać rzeczy, trudno też było inwestować mówiąc, że buduje się dworki dla górniczych i innych osobistości. Eufemizmy stosowało się powszechnie. Załoga budujących się kopalń wiedziała jedynie, że za parowem, tam, dokąd z powodu błota i braku drogi trudno się dostać, wznosi się dla niej i nowych kolegów Ośrodek Szkoleniowo-Dydaktyczny Kopalń Lubelskiego Zagłębia Węglowego. Wprawdzie w planach nie ma mowy o makietach kopalni, typowej sztolni itp., ale w końcu werbalne szkolenie także może przynieść pewien pożytek, a stołówka i sala konferencyjna potwierdzają ten zamiar. Tyle tylko, że pomieszczenia takie znajdują się także przy ulicy Górniczej. Trudno mówić, że kursanci mieliby mieszkać w ośrodku, skoro razem z apartamentami wybudowano tylko szesnaście dwuosobowych pomieszczeń. Wprawdzie z uruchomieniem kopalni budowniczym się nie szczęści, jednak ze wznoszeniem budynków za wąwozem miano dać sobie radę już teraz. Będą one ostatecznie gotowe do końca obecnego półrocza wraz z otoczeniem, a więc na sezon kąpielowy w sam raz.

Wielu rzeczy przedtem zaplanowanych tam jednak nie będzie. Wiele się bowiem od minionego lata zmieniło w tym kraju. Dyskretnie więc wycofano część projektów wystroju wnętrz i otoczenia. Czego więc nie będzie?

Ano nie będzie dwumetrowej wysokości murowanego ogrodzenia. Nie będzie kutych specjalnie w żelazie bram i furtek. Powstanie pospolity płot ze zwykłej siatki. Nie zbuduje się fińskiej łaźni. Zubożony zostanie dworek, w którym przewidziano pięć apartamentów z osobnymi wejściami od zewnątrz (w każdym apartamencie dwa pokoje, przedsionek, i przedpokój oraz łazienka). Zaprojektowano tam wprawdzie wanny skromne, ale za to dla towarzyszących prominentom pań gustowne bidety. Lud łęczyński i górniczy nie z francuska nazywa to urządzenie, ale znalazł własną, jędrną i dosadną nazwę, której ze względów obyczajowych nie wymienię. Mogę tylko zdradzić, że drugi człon brzmi skromniej... myjka. Nie będzie też ponoć włoskich kafelków, a w pokojach na ścianach wykładziny z brzozy syberyjskiej. Sklepienia będą gołe, a łuki w otworach drzwiowych między komnatami apartamentów na tym tle wyglądać muszą ubogo. Również sterczące z podłóg rury żałośnie szpecą łazienki, bo nie osadzi się na nich nieszczęsnych... myjek.

Nie zrezygnowano jednak z okienek do pierwszych pokojów apartamentów. Z przedpokoju będzie można dyskretnie podawać śniadanie, stawiając je na parapecie z drewnianymi okiennicami, bez wchodzenia do środka i wsuwania ciekawskiego ryja do alkowy. W dwu pozostałych budynkach, w których znajduje się po sześć pojedynczych pokoi, od razu przewidziano skromniejsze wyposażenie, choć także gustowne i zapewniające przyjemny pobyt. Wykładziny dywanowe, terakota w przedpokojach i łazienkach — dadzą w przybliżeniu podobny komfort, jak w apartamentach sąsiedniego budynku. Czworokątne spady dachów parterowych budynków „Ośrodka" ozdobione czerwoną dachówką, co w zespoleniu z murowanym ogrodzeniem i kutymi bramami stwarzałoby intymny nastrój współczesnej szlacheckiej zagrody nad głębokim jarem i szumiącą kaskadą rzeczółki.

I to wszystko tak zbulwersowało łęcznian, górników, organizacje społeczne i polityczne dziesięciotysięcznego już prawie miasteczka... Poczęto molestować wojewodę lubelskiego o udostępnienie tego dobra, zubożonego wprawdzie architektonicznie, społeczności grodu w widłach Wieprza i Świnki! A to mówią, że szkoła buduje się zbyt wolno, że ich dzieci i pedagodzy od 8-ej do 29-ej uczą się i nauczają, że wnet zmiany trzeba będzie przedłużyć do 22-ej. A to wyrzekają na możliwość korzystania z 25 pomieszczeń Przychodni Przyzakładowej KLZW w hotelu nr 2, jak na ironię świetnie wyposażonych. W rezultacie ludność Łęcznej wraz z rodzinami górniczymi musi się tłoczyć w Miejsko-Gminnym Ośrodku Zdrowia. Wytykają, że Klub Młodzieżowy przy Górniczej źle pracuje i nie ma warunków, że Górnicze Centrum Kultury w zgrzybiałym budynku Straży Pożarnej się gnieździ, a tam za wąwozem to Centrum Kulturalne i odpowiednia dla tej miejscowości biblioteka oraz kino pomieściłoby się swobodnie i przez wiele lat mogłyby służyć, bez dalszych inwestycji, społeczeństwu staremu i napływowemu. Wystarczyłoby zbudować kładkę nad parowem, a to, co miało być odgrodzone, znalazłoby się nagle blisko osiedli górniczych i miasta. Jeszcze oba parkingi im się nie podobają, głoszą, że wystarczy, aby z tego dookólnego blocka wyrósł jeden, a zamiast drugiego widzieliby dziedziniec i plac zabaw. Dostrzegają też kontrast w szybkości wznoszenia żłobka, przedszkola i wspomnianej szkoły. Przekształcenie „ośrodka szkoleniowo-dydaktycznego KLZW" w Górnicze Centrum Kultury nie wymagałoby kosztownych adaptacji, jeżeli decyzję podejmie się natychmiast. Załagodzi natomiast opinię społeczną i nada sensu tej inwestycji, miasto i samych górników zwalniając od wielu kłopotów. Pozwoli zespolić etatowe siły oraz materialne środki budowniczych kopalń oraz miejscowych władz. Tak sądzą właśnie te władze, czynniki społeczne i polityczne w Przedsiębiorstwie Robót Górniczych oraz międzyzakładowy Komitet Koordynacyjny NSZZ „Solidarność" w Łęcznej. Innego zdania jest dyrekcja KLZW w Lublinie. Inaczej myśli się na ten temat daleko, w katowickim Ministerstwie Górnictwa. Ale to zrozumiałe. Odszedł minister, który miał pomieszkiwać od czasu do czasu nad Świnką, ale sam resort w wielu sprawach pozostał — o czym z żalem mówi nawet kadra związana z górnictwem od dziesięcioleci — „bardziej konserwatywny od innych".

Nie będzie więc muru; czy powstanie kładka nad jarem, która przybliży do łęcznian to, co miało być odgrodzone?

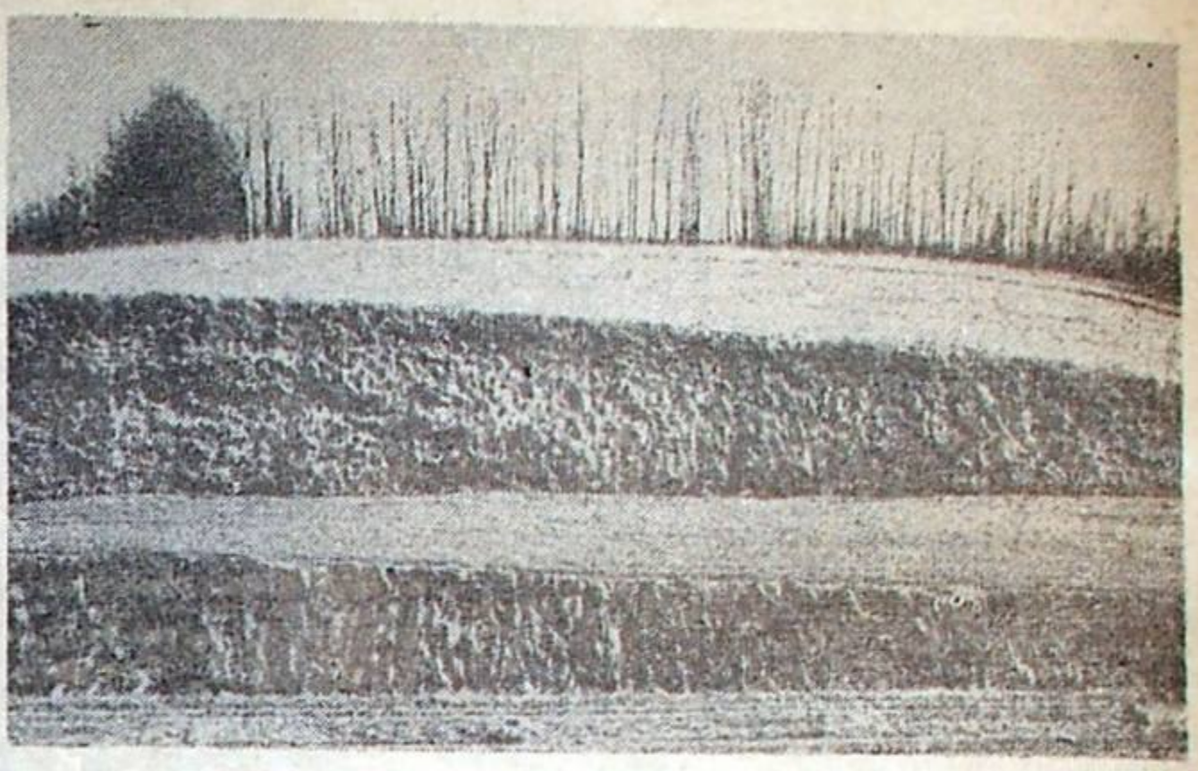

Malownicze okolice ośrodka

Dworek z apartamentami

Fotografował: **Waldemar Stępień**

WOJEWÓDZKI KLUB KONSUMENTÓW

TRWAJĄ jeszcze prace (i zanosi się, że mogą potrwać) nad statutem i unormowaniem sytuacji prawnej Federacji Konsumentów. Nie oznacza to, że tworzące się Wojewódzkie Kluby Konsumentów (a powstały już w wielu województwach) mają pozostać całkiem bezczynne. Wręcz przeciwnie — ruch ten organizuje się przecież od dołu.

Na naszym terenie bardzo dobry przykład dał Wojewódzki Ośrodek Gospodarstwa Domowego Ligi Kobiet w Lublinie, który — jak wspominaliśmy w poprzednim numerze „Kameny" — zadeklarował chęć współpracy z lubelskim Klubem. W piśmie deklarującym współdziałanie czytamy: „Posiadając placówkę gospodarstwa domowego, w pracach której uczestniczą instruktorki gospodarstwa domowego, tj. żywienia, odzieży, kosmetyki, sprzętu gospodarstwa domowego, rozważamy możliwość zorganizowania klubu konsumenta przy tut. Wojewódzkim Ośrodku Gospodarstwa Domowego. Bierzemy także pod uwagę rozwój tego ruchu w osiedlach mieszkaniowych, przy komitetach samorządu mieszkańców, kołach LK w osiedlu i zakładzie pracy na terenie województwa. W kołach Ligi Kobiet województwa będziemy upowszechniać ruch konsumencki różnorodnymi formami, m.in. zbieranie i opracowywanie opinii od petentów, kursantek i innych osób przebywających w lokalu, także poprzez skrzynki do tych celów umieszczone w lokalu, a dotyczące handlu, usług, produkcji itp."

Gorąco zachęcamy do podejmowania tego rodzaju inicjatyw. Oczekujemy na bogaty materiał informacyjny, dotyczący rynku konsumenckiego.

Tymczasem p. Tomasz Mikołajczuk z Lublina nadesłał do Klubu informację następującej treści:

Leży odłogiem około 50 ha pierwszorzędnych gruntów na LSM, które są przeznaczone — w dość odległej perspektywie — pod urządzenie parku miejskiego. Jak dotąd ziemia marnuje się, choć wielu mieszkańców LSM od dawna zgłaszało ochotę założenia na tych gruntach tymczasowych ogródków działkowych (bez sadzenia drzewek i krzewów oraz budowy altanek, a jedynie z uprawą warzyw i kwiatów). Amatorzy działek deklarują dobrowolne ich opuszczenie, gdy miasto przystąpi do urządzania parku, a nawet ofiarują w czynie społecznym swoją pomoc, gdy park będzie powstawał. Wszystko to gotowi są zagwarantować odpowiednią umową. Niestety, sprawa ciągnie się od ubiegłego roku i władze miejskie ani rusz nie chcą pójść na rękę mieszkańcom LSM, choć dziś każde uzupełnienie produktów na rynku liczy się na wagę złota. P. Mikołajczuk pisze: „Jeśli nasze władze miejskie nie potrafią tego zrozumieć, to chyba nie dotarła do nich jeszcze odnowa i stwierdzam, że nic nie robią, aby ludzie odzyskali do nich utracone zaufanie? Jak społeczeństwo ma mieć zaufanie do władzy, która nie widzi jego potrzeb i nie wykonuje wytycznych Partii i Rządu w sprawie zagospodarowania każdego skrawka ziemi uprawnej w mieście?".

Odpis tego listu wysłaliśmy prezydentowi Longinowi Zielińskiemu i oczekujemy od Urzędu Miasta zajęcia racjonalnego stanowiska w sprawie.

M.P.

Dokończenie ze str. 1

dując usprawiedliwienie swej bierności (pani Jadwiga Janiukowa) w braku upoważniającego ją do działania pisma od zwierzchnika...

Oczekiwanie wiedzy estetycznej i historycznej od konserwatora to taki sam absurd, jak obwinianie konserwatorów zabytków za pierwszorzędne wyremontowanie zamojskiego Starego Miasta; dajmy więc pokój tej postaci. Grozę budzi coś innego: wyznanie pani Janiukowej. Przecież miejski konserwator powinien natychmiast zająć się sprawą z tytułu ustawy o ochronie dóbr kultury! Troska o zabytki to elementarny, prawnie określony obowiązek człowieka pełniącego taką funkcję, a nie wypadkowa biurokratycznych manipulacji i własnego samopoczucia. Żeby nie było niejasności: dokument pisany czy fotografia to także zabytek kultury.

Smutne refleksje musi też budzić niefrasobliwość, wręcz lenistwo owego zespołu, który komisyjnie przejmował od rzemieślników zbiory Ziółkowskiego. Czy nie należało dokładniej przejrzeć mieszkania pana Wiktora, przepytać komornika i inne osoby — skoro wiadome było wszystkim, że Cech Rzemiosł Różnych nigdy nie darzył sympatią dziwnego lokatora swojej nieruchomości?

Mówiąc prawdę, to ja się przecież temu wszystkiemu nie dziwię, bo sprawa Ziółkowskiego stanowi tylko jeszcze jeden przyczynek do depresji moralno-społecznej, w jakiej znalazła się kultura. Kilka miesięcy temu z wielką nadzieją przyjęliśmy oświadczenia, że oto teraz, w warunkach narodowej odnowy, wartości ducha będą traktowane przynajmniej na równi z materialnymi, że w miarę możliwości, ale też nie opieszale odrabiać się będzie straty w tej sferze, która przecież decyduje o ludzkich postawach, a na pewno buduje polską tożsamość. Tymczasem okazuje się, że problem pełnej miski przesłonił faktycznie wszystkie inne potrzeby — nie za sprawą władz jednak, lecz pod presją licznych i różnorodnych, także inteligenckich, środowisk społecznych. Stół mamy kiepski,

Skrócić i wyrzucić

dach nad głową dziurawy, ale czy z tego powodu należy na przykład rozbierać domy kultury, by z uzyskanej cegły budować fabryczki margaryny? Brakuje nam mocy przerobowych w mieszkaniówce, ale ile my ich zyskamy

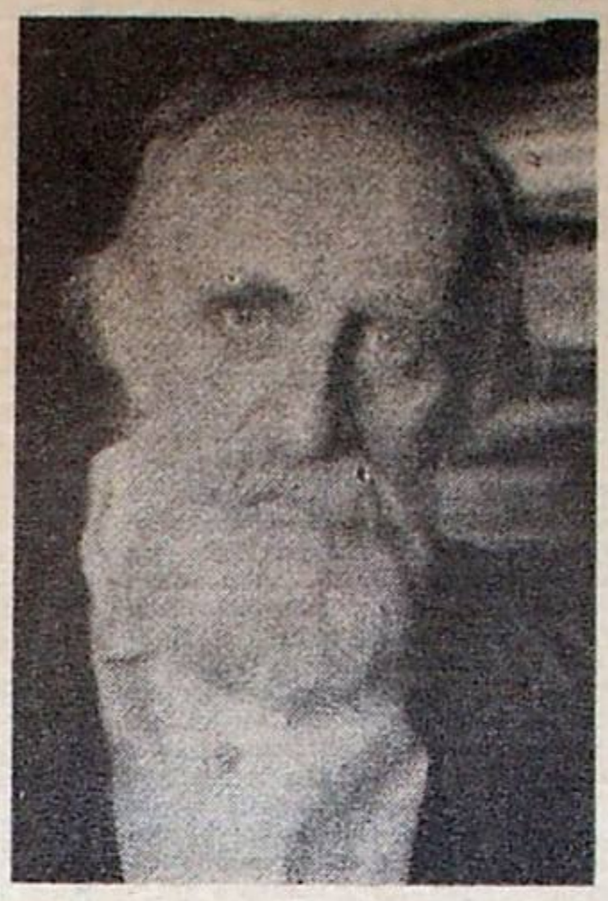

Fotografia ze śmietnika, przedstawiająca Wiktora Ziółkowskiego w 1963 r.
Fot. W. Stępień

przez wstrzymanie budowy gmachu teatru i filharmonii w Lublinie? W imię zaściankowej, prymitywnej ekonomii bije się po głowie inwestycje kulturalne i ogranicza środki na wiadomą działalność, kompletnie zapominając, że przygotowanie ludzi do spełniania celów gospodarczych i politycznych, związanych z piękną lecz trudną przecież ideą demokracji, odbywa się właśnie w płaszczyźnie kultury, która jest ostatecznie fundamentem i celem aktywności każdego mądrego, nowoczesnego narodu. Niestety, społeczne zrozumienie tej prawdy jest mocno ograniczone.

W „Kurierze Lubelskim" z 18 marca czytam oto artykuł Andrzeja Jasińskiego „Miejski pejzaż z wiejskim akcentem", który, owszem, doceniając budowę na Sławinku Muzeum Wsi Lubelskiej, wdzięcząc się do bardziej rozgarniętych czytelników, rąbie na koniec prosto z mostu: „Zastanawiamy się dziś, jakie inwestycje wstrzymać, zakłady produkujące sprzęt medyczny ratujący życie ludzkie nie mają możliwości rozwoju, a Muzeum Wsi Lubelskiej jak gdyby nigdy nic spokojnie buduje swoje wiejskie chałupy. Mimo całego szacunku dla inicjatywy zachowania zabytków architektury wiejskiej musimy pamiętać o tym, że ludzie muszą najpierw gdzie mieszkać i co jeść, a później dopiero urządzić muzeum".

Po takiej zachęcie nie wykluczone, że znajdzie się jakaś grupka entuzjastów, która z siekierami w dłoniach i artykułem Jasińskiego na żołądku ruszy na skansen.

Groźna jest demagogia tej publikacji. Czy nie przemawia bowiem do przekonania osób mniej zorientowanych stwierdzenie, że wobec potrzeb egzystencjalnych muzea należy urządzać „później"? Kto wie, że w przypadku muzeum budownictwa drewnianego to „później" oznacza zgodę na całkowite zniszczenie wiejskich chałup, wiatraków, spichlerzy, a więc tego dziedzictwa kulturowego, którego pospiesznie pozbywa się wieś współczesna?

Skansen jest naszą jedyną większą inwestycją kulturalną, która rozwija się znakomicie, kosztując rocznie zaledwie 4 mln zł. Skansen okazuje się być placówką niezwykle popularną wśród społeczeństwa Lublina: tylko w minionym roku zwiedziło go 35 tys. osób, a co będzie, kiedy wszystkie prace zostaną zakończone? W tej chwili 18 obiektów znajduje się w ekspozycji, 8 pod dachem, a 6 w budowie.

Z artykułu Jasińskiego niedwuznacznie wynika, że powodem jego ogólniejszych „wniosków" jest sprawa jednostkowa: prywatnych posesji, które otacza fragment skansenu przedstawiający tradycje Roztocza. Ich właściciele mają utrudniony dojazd do własnych budynków, chałupy nieomal zaglądają w okna ich domów, a poza tym — tu autor uderza w dzwon interesu publicznego — muzeum wpakowało się na uzbrojone kompletnie działki, na których można by posadowić około 40 domków jednorodzinnych.

Tymczasem prawdą jest, że dojazd nie jest wcale tak kłopotliwy, jak chce Jasiński, a teren nie posiada kanalizacji i cierpi na brak wody. Więc o co chodzi, dlaczego zaawansowana budowa muzeum ma ustąpić miejsca prywatnym kaprysom?

Sprawa ma swoją historię, interesował się nią — z czyjej inspiracji? — sam sekretarz Edwarda Gierka, ale na szczęście rozsądek i racje społeczne zwyciężyły.

Obecnie wraca na tapetę — bo ludzie zainteresowani wysadzeniem skansenu z siodła poczuli sprzyjający klimat, w którym łatwo poddusić kulturę, nawet taką inwestycję, jak wznoszony na setki lat (jeśli wcześniej szlag nas wszystkich nie trafi) skansen lubelski, instytucja znana już i chwalona w Europie, a co najważniejsze — dobrze służąca mieszkańcom niemal 350-tysięcznego miasta.

Ireneusz J. Kamiński

POCZTA LITERACKA

Danuta S. Klementowice. „Czytałam kiedyś drukowaną w waszym piśmie powieść „Smak miłości i łez". Wydaje mi się, że moja „Ballada znad morza" nie jest zbyt wiele gorsza". Pani Danuto! Nie musi być „zbyt wiele gorsza". Wystarczy, że jest gorsza. Wystarczyłoby, gdyby nawet była taka sama. Bo „Smak miłości i łez" był tandetą, którą publikowaliśmy z przymrużeniem oka, trochę dla draki a trochę z ciekawości — kiek jeszcze panienek przeczyta ją tak, jak przeczytałyby ich babcie przed wojną. Okazało się, że sporo. „Ballada..." wcale nie gorsza, czego proszę jednak nie brać jako komplementu, lecz jako stwierdzenie, iż jest ani mniej, ani więcej tandetna niż „Smak miłości..."

Adam D. Rzeszów. Zatrzymujemy do druku „Autokrytykę", „Jestem..." i „Wejść".

Paweł B. Ostrów Wlkp. Wszechogarniająca nuda, ów odwieczny spleen, który tak wspaniale zaowocował np. u Baudelaire'a — tu jest bardzo naiwny, bardzo pasywny i ...nudny. Nie ratuje go rozpisanie wierszy na jednowyrazowe wersy:

„Ta planeta /nie dla nas/ Ludzie/ Zniszczą każdego/ Człowieka...

Ewa I. Lublin. Trochę szacunku dla słów. „Najpierw związali ręce /a potem zaczęli bić/ gdziekolwiek /przez krzyż/ i w mordę" Opowiadanie „Cztery pory roku" — pełne łanów zbóż, łąk, strumieni grut. Młodzieniec u końca wędrówki dociera do Zamku, Zamek się roztapia (lód) i całą sprawę kończy szyderczy śmiech Przedki. Żaki i igrce w „Żywych kamieniach" W. Berenta przynajmniej szukają jakiegoś wtekulstego Grala, a ten tu Młodzieniec? Nawet dziecka po dobranocce nie można nim uśpić, bo bajeczka też lubi mieć finał.

Mirosław K. Lublin. Są chyba dwa wstępne stopnie poetyckiego wtajemniczenia. Pierwszy to umieć poznać, co jest wierszem, a co nim nie jest. Drugi to poznać, co będąc już wierszem jest lub nie jest poezją. Pana teksty dowodzą nieznajomości pierwszego stopnia: one nie mogą nawet uchodzić za wiersze. Nielepsze też rymowanki udające satyryczną frasze-kę.

Grzegorz M. Lublin. Wiersze niewątpliwie „bliskie" Panu, jednak wykazujące ogromną nieporadność i amatorszczyznę. Forma — bezkrytyczna wobec elementarnych wymogów, treść — przegląd ulotnych wrażeń, które pragnie Pan nobilitować do rangi przeżycia poetyckiego. Całkowita bezradność wobec rzemiosła poetyckiego podpowiada, aby zacząć od lektur, ale lektury nikogo jeszcze nie uczyniły poetą.

Paweł K. Łódź. Odpowiedź otrzymał Pan w „Poezcie" z nr 3 (i II br.). Po lekturze nowej porcji utworów podtrzymuję negatywną ocenę. Nie może być inna, jeśli będzie Pan stawiał na taki system skojarzeń:

na myśli przudrożne i senne upojenia
co ranią i gryzą nasze dobre serca
po nerwy wyjrzałe błękitem zazdrości
jak lepkość idąca na spotkanie młodu

Ewa S. Lublin. Nie wierszę, że to wiersze kolegi. A jeśli, to proszę mu przekazać, co następuje: do niczego!

Roland O. Lublin. I słusznie, że ukrył Pan te wiersze (i opowiadanie) pod pseudonimem. Jak wyżej.

D. M. Lublin. To drugie: ku uciesze.

Zbigniew H. „Myśli" są myślami, ale tylko. Aby myśl stała się aforyzmem, musi zawierać jakąś mądrość, prawdę, czegoś uczyć, zmusić do myślenia. Widzi Pan, ja też czasami miewam myśli. I co z tego? W tym kraju naprawdę cenne myśli ma tylko Lech Wałęsa. Niedawno w wywiadzie udzielonym Orianie Falaeci powiedział m.in., że to, co intelektualistom zabiera pięć godzin, jemu zabiera pięć sekund, przy czym wcześniej wyznał jej, że w życiu nie przeczytał żadnej książki do końca. Mózg paruje!

Józef Ch. Biłgoraj, Maria S. Lublin, Zuzanna Lublin, Bożena L. Łapy — nie skorzystamy.

H. P.

KRONIKA

• Z informacji Wojewódzkiej Komisji Kontroli Partyjnej w Lublinie: w ciągu dwóch pierwszych miesięcy bieżącego roku wydalono i skreślono z partii 232 osób z czego większość na własną prośbę; rozpatruje się wiele spraw o naruszenie etyki członka PZPR; wzrosła liczba pomówień osób na kierowniczych stanowiskach o czyny niepopełnione.

• Wydatki na inwestycje w służbie zdrowia wzrosną w tym roku o 6 procent, osiągając wysokość 2,1 mld zł. Jak wiadomo, potrzeby w tej sferze są wielkie, na ich pełne zaspokojenie trzeba będzie długo poczekać. Jedyna pociecha, że na 10 tys. mieszkańców Lubelszczyzny przypada 24 lekarzy, przy średniej krajowej 18.

• W dużym studiu lubelskiej rozgłośni Polskiego Radia nagrano kilka utworów w wykonaniu Chóru Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Taśmy przesłucha fury dorocznego konkursu radia RMC, w którym uczestniczy właśnie nasz 40-osobowy zespół, kierowany przez Kazimierza Górskiego.

• Jednoznaczna, racjonalna opinia fachowa: „Mieszkańcy Zamościa domagają się, żeby na Starówce mieszkała nie tylko „elita". Mam nieco inne zdanie. Jestem przeciwna, żeby na fali odnowy wprowadzać na Starówkę przypadkowych mieszkańców. [...] Zamość w świecie traktowany jest jako przykład wyjątkowo rzetelnej rewaloryzacji, dobrej roboty konserwatorskiej. Nie róbmy więcej nic, co by tę opinię przekreśliło" W ogóle polecamy ten wywiad z Marią Sarnik, wojewódzkim konserwatorem zabytków w Zamościu (nr 58 „Sztandaru Ludu"), wszystkim entuzjastom rezygnacji z ochrony zabytków, którzy ożywili się jakby ostatnio

• Na lubelskim targowisku przy al. Tysiąclecia rolnicy chętnie sprzedają np. kilogram słoniny za 180 zł., ale zdecydowanie przeciwstawiają się jakimkolwiek „grymasom" klientów. „Nie podoba się? To idź pani do sklepu!"

• Giełda samochodowa w Lublinie z 22 marca: nowe Fiaty 126p — 205 tysięcy (w jednym przypadku 197 tys.), Skoda 105—390 tysięcy, Mercedes 200 D z 1974 r. — 435 tysięcy, Ford Taunus 16 I. z minionego roku — bagatela, 850 tys. zł.! Dużo widzów, mało nabywców. Przedpłaty w PKO wpływają na giełdę, choć już przy końcu marca w urzędach pocztowych zabrakło blankietów.

• Ukazał się kolejny numer (zresztą bez numeracji) „Spotkań z zabytkami", pisma przeznaczonego dla szerokich kręgów czytelniczych, zaopatrzonego w liczne zdjęcia kolorowe i czarno-białe, w którym znajdują się m.in. materiały związane z 400-leciem Zamościa i 1000-leciem Sandomierza, popularny artykuł o malarstwie i najczęściej fałszowanych artystach. O interesującej publikacji wspominamy i z tego względu, że jej wydawca jest lubelski oddział KAW. Martwi tylko jedno: nakład w wysokości 1200 egzemplarzy.

• KUL uruchomił Wydział Nauk Społecznych z sekcjami: społeczną, psychologiczną i pedagogiczną. Egzaminy wstępne odbędą się w ogólnie przyjętych terminach.

• Andrzej Kabała z Łodzi pokazał w lubelskim BWA świetne rysunki i grafiki, w których pewność dłoni konkuruje z wyobraźnią artysty. Także w drugiej połowie marca czynna była we wspomnianej placówce wystawa malarstwa Hiszpana Joan Josep Tharratsa, jednego z wybitnych twórców i animatorów sztuki hiszpańskiej lat pięćdziesiątych, samouka, zresztą w dziedzinie plastyki (podobnie jak bez mała wszyscy członkowie lubelskiej grupy „Zamek", którzy w tym samym okresie tak mocno zaznaczyli się w sztuce polskiej).

• Wyjątkowo pożyteczny pokaz graficzny urządziło samojskie BWA, obok prac znanych lub wybitnych artystów krakowskiej ASP eksponując płyty drukarskie, próbne odbitki, narzędzia, materiały i fotografie z pracowni. Oto atrakcyjna i skuteczna metoda pozyskiwania szerokiej publiczności dla sztuki. Nie sierszy [illegible] pozwoli sam ciepło mówić o zamojskiej instytucji.

PRASA LUBELSKA PISAŁA

PRZED 30 LATY

• Harcerstwo polskie obchodzi w roku bieżącym 20-lecie swego istnienia. Dla uczczenia tego jubileuszu harcerstwo lubelskie urządziło cały szereg uroczystości. Uroczystości te rozpoczęły się wieczornicą harcerską w sali aktowej gimnazjum im. Hetmana Zamoyskiego. Program wieczornicy był bardzo urozmaicony. Były deklamacje, śpiewy, obrazki z życia harcerskiego, pełne młodzieńczego humoru i swobody. Miłym zakończeniem tych uroczystości harcerskich w Lublinie był niedzielny popołudniowy pochód wszystkich drużyn przez miasto na Plac Katedralny, a potem harcerskie ogniska na peryferiach Lublina. Przez miasto przemaszerowały wszystkie hufce, przy dźwiękach orkiestr pod swoimi sztandarami i proporczykami. Zgromadzona na ulicach Lublina publiczność z dumą podziwiała dziarską postawę dzielnych harcerzy i harcerek.

• W ostatnich dniach w Warszawie obradował międzynarodowy kongres Abstynenckiej Ligi Kolejowców. W czasie zjazdu dokonano uroczystego poświęcenia pierwszego w Polsce „wagonu walki z alkoholizmem". Wagon ten przeznaczony jest dla propagandy abstynencji. Inicjatywę budowy i urządzenia oraz projekt tego „wagonu" dała Polska Abstynencka Liga Kolejowców. „Wagon" zbudowały warsztaty kolejowe w Łapach w Dyrekcji Wileńskiej. Trzeba przyznać, że „Wagon walki z alkoholizmem" wykonany jest solidnie i bardzo efektownie, jest w nim osobna kabina dla kierownika, dla prelegenta, umywalnia, sala z eksponatami, wykresami, najrozmaitszymi tablicami itp. Bardzo ciekawe są np. wykresy „Alkoholizm a zbrodnia", „Alkoholizm a postęp w nauce". Lublin jest pierwszym etapem objazdu „Wagonu" po Polsce. „Wagon walki z alkoholizmem" zobaczyć winni wszyscy, którzy interesują się sprawą trzeźwości i ruchem abstynenckim. Zwiedzać można codziennie po południu. Dobrze by było zainteresować nim młodzież szkolną i nauczycieli.

„Głos Lubelski"

Wybrała: **A. Orzechowska**

OKOLICE SZTUKI

Rób pan kaszankę!

ODPOWIADAJĄC na mój felieton z przedostatniego numeru „Kameny", pan Janusz Jurkowski poinformował czytelników nr 55 „Kuriera Lubelskiego", na jakiej podstawie zrobił kaszankę z grupy „Zamek". Produkt naszego sympatycznego reportera miejskiego byłby podniecający w tych ciężkich czasach, gdyby nie cuchnął tak mocno, że właściwie należałoby skierować go pod uwagę inspekcji sanitarnej czy handlowej, a może nawet organu, który obiecał był ściganie autorów świadomie wprowadzających w błąd opinię przez np. brutalne preparowanie cudzych tekstów.

Otóż Jurkowski wyjaśnia, że recepturę owej kaszanki sporządził m. in. na podstawie opinii o „Zamku", jaką Ireneusz Jan Kamiński, „którego pióro ponoć cenią", opublikował w katalogu wystawy 30-lecia ZPAP w Lublinie piętnaście lat temu, gdzie reporter znalazł wzmiankę o „brakach warsztatowych wynikających z nieprzygotowania profesjonalnego" członków wspomnianej grupy oraz takie stwierdzenie: „w pewnych przypadkach realizowane koncepcje grzeszyły infantylizmem, nosiły znamię wtórności i przemijającej mody". Broniący dziś „Zamku" IJK — pokpiwa Jurkowski — zapomniał, co takiego pisał o młodych plastykach „znany krytyk", którego pierwsze litery nazwiska układają się w imiejał felietonisty. Dziennikarz „Kuriera" rzuca też mimochodem, że Kamiński wyrażał się „pochlebnie o grupie amatorów" — rzuca i poprzestaje na tym, jakby dodatnie spostrzeżenia krytyka były mało ważne dla istoty spornej kwestii.

Po lekturze takich rewelacji niejeden obywatel może dojść do wniosku, że iloraz inteligencji niżej podpisanego sięga zera, a wytoczona w „Kamenie" sprawa jest ordynarnym zamachem na niezbywalne prawo redaktora Jurkowskiego do niezależnego i samorządnego wygłaszania opinii, choćby na tematy tak delikatne, jak artystyczne. Nadmiernie chyba rozpieściliśmy twórców — duma człowiek — więc nie zawadzi dać im teraz po goleniach, szczególnie tym, którzy wykonując obiekty niezgodne z potocznym wyobrażeniem o najpiękniejszym pięknie, pchają się na dodatek do muzeów.

Któż z czytelników gazety może wiedzieć, że w poszukiwaniu szpadryny na „Zamek" i IJK Jurkowski przystąpił do tekstu owego Kamińskiego z tzw. gazrurką owiniętą dla niepoznaki w weekendowy egzemplarz „Kuriera" i dokumentnie wytrzebił zasadnicze dla sprawy sądy i fakty, z właściwą sobie troską i elegancją obchodząc się tylko z f r a g m e n t a m i dwóch krytycznych napomknień, które z jeszcze jedną uwagą skwapliwie przytoczył dla uzasadnienia swej pogardy dla grupy? Obrazowo mówiąc, nasz pupil postąpił jak lekarz, który człowieka z dolegliwością małego palca u nogi skierował do domu wariatów, czy wręcz skazał na eutanazję.

Aby nie być gołosłownym, przytoczę niemal całą opinię Kamińskiego o „Zamku", kursywą wyodrębniając preparaty Jurkowskiego.

„Nonkonformizm młodych ludzi, przy jednoczesnych *brakach warsztatowych, wynikających z nieprzygotowania profesjonalnego*, stworzył dogodną sytuację w obozie przeciwników, wśród których znaleźli się konserwatywni malarze, recenzenci i większość publiczności wystaw lubelskich. Uparta, konsekwentna działalność „Zamku" przyniosła jednak wartościowe wyniki. [...] Wprawdzie grupa nie posiadała jakiegoś jednolitego programu [...] *w pewnych wypadkach realizowane koncepcje grzeszyły infantylizmem, nosiły znamię wtórności i przemijającej mody* — jednakże z czasem ukształtowało się kilka indywidualności o wyraźnie zarysowanym profilu. Wypada tu wymienić Włodzimierza Borowskiego, Jana Ziemskiego, Tytusa Dzieduszyckiego [...] oraz Krzysztofa Kurzątkowskiego. [...] Podjęcie tych ambitnych prób znalazło swoje odbicie w prasie krajowej, a znany krytyk Janusz Bogucki widział w „Zamku" „najciekawsze dziś bodaj zjawisko wśród aktualnych poczynań najmłodszej generacji naszych plastyków". Dodajmy, że grupa rzetelnie pracowała, aby zasłużyć sobie na taką opinię, wystawy „Zamku" gościły w awangardowej galerii warszawskiego „Krzywego Koła" (1957, 1958) kierowanej przez M. Bogusza, w Białymstoku (1957) i w krakowskim „Pałacu Sztuki" (1958). Na III Ogólnopolskiej Wystawie Sztuki Nowoczesnej, będącej podsumowaniem szerokiego już wówczas nurtu, znaleźli się także członkowie grupy: Borowski, Durakiewicz, Kiwerski i Ziemski. Data działalności grupy „Zamek" to w Lublinie okres rzeczywistego fermentu i ciągłych kontaktów ze środowiskiem krajowym, a nawet zagranicznym, jeśli wziąć pod uwagę późniejszą co prawda, bo z r. 1959, wystawę Borkowskiego, Dzieduszyckiego i Ziemskiego w paryskich galeriach „Ranelagh de cinema" i „George Fall". [...] Rozluźnienie więzów pomiędzy członkami grupy „Zamek" i zmniejszenie aktywności młodych plastyków następuje około r. 1960. Różne były tego przyczyny, lecz jedna zdaje się nie ulegać wątpliwości: *przepłynęła pierwsza, wzburzona fala nowoczesności, zmniejszyła się atrakcyjność „zakazanego owocu"*.

No cóż, filut z Jurkowskiego przedni, ale niech spoważnieje na chwilę i odpowie, jakim to prawem wmieszał autora przytoczonych stwierdzeń do swojej akcji pn. „Zepchnąć „Zamek" do łamusa"? Trzeba być krzyżówką złej woli, niewiedzy i nonszalancji, by w takim tekście dogrzebać się istotnych argumentów przeciw grupie. I jeszcze jedno pytanie: czy Jurkowski zdaje sobie sprawę, że pozytywne uwagi krytyka dotyczą właśnie twórczości kwestionowanej przez reportera, a znajdującej się w Muzeum Okręgowym?

Oddanie Jurkowskiemu w ajencję jakiejś sporej wytwórni prawdziwej kaszanki uważam za jedyny ratunek dla plastyki lubelskiej. Pochylony w skupieniu nad parującym kotłem rychło zapomni — miejmy nadzieję — o sztuce i tylko w chwilach wolnych od krwawego trudu śmiać się będzie wesoło ze swoich starych aspiracji.

IJK

EKRAN I WIDZ

„Cena strachu" by Friedkin

W języku filmowym termin „remake" oznacza ponowną ekranizację tematu, który w większości przypadków stał się już „klasykiem", a swego czasu zdobył szerokie uznanie widowni. Przy czym ta nowa ekranizacja — dzieło zupełnie innego reżysera — jest jakby powtórzeniem pierwowzoru, tylko że uwspółcześnionym, unowocześnionym, dopuszczającym pewne wariacje tematyczne i formalne. Właśnie dlatego idzie się do kina na remake słynnego filmu, który zna się zazwyczaj z autopsji, żeby świat dawnych przeżyć zobaczyć w innym, współczesnym wymiarze i dokonać próby konfrontacji. Ta konfrontacja wypada najczęściej na niekorzyść dzieła późniejszego. Tak było w niedawnym przypadku „King-Konga", którego dzisiejsza supertechnika filmowa pozbawiła całej niegdysiejszej naiwnej romantyki; tak jest z idącą właśnie na naszych ekranach „Ceną strachu" Williama Friedkina, nawiązującą do słynnego dzieła Clouzota z początku lat pięćdziesiątych.

Dla mojego pokolenia, to znaczy dla ludzi, którzy dochodzili do pełnoletności w okresie polskiego Października, objawiająca się właśnie wówczas na polskich ekranach, nakręcona w 1953 r., „Cena strachu" była nie tylko dziełem niosącym określone wątki filozoficzne i społeczne, ale również, a może przede wszystkim, odkryciem świata oglądanego z zupełnie różnej, niż dotychczasowa, perspektywy. „Cena strachu" dokumentowała naocznie, że unosimy się oto na zupełnie już innej fali.

Uważa się, że wpływ na rewolucję intelektualną i obyczajową wśród młodzieży wielu krajów, także Polski, przyniósł ze sobą nakręcony w 1954 r. (tj. w rok po „Cenie strachu") film Andre Cayatte'a „Przed potopem", z młodziutką Mariną Vlady. I to jest prawda. Ale w ówczesnym polskim wymiarze, dla ówczesnego pokolenia „wstępującego" właśnie opowieść Clouzota o grupie mężczyzn transportujących z narażeniem życia przez dzikie bezdroża i wertepy ładunek nitrogliceryny, który w każdej chwili może spowodować kataklizm, o ludziach, zdecydowanych na ten z pozoru szaleńczy krok z powodu niezgody na rzeczywistość, w której przyszło im żyć — ta opowieść nabrała znaczenia szczególnego.

Zresztą i bez czysto polskiego „nachylenia" interpretacyjnego „Cena strachu" robiła na nas wrażenie ogromne. Oparta na powieści Georgesa Arnaud, eksponując w doskonały sposób wątek dramatyczno-przygodowy, potrafiła zarazem nasycić go aktualnymi wówczas treściami egzystencjalistycznymi, refleksją nad losem człowieka walczącego o swoją godność, ale skazanego na ciągłą trwogę, na nieuchronną śmierć, na nicość. Pokazywał też Clouzot świat okrutny, bezwzględny świat wielkich interesów, który jednostkę ludzką dostrzega o tyle tylko, o ile jest mu potrzebna do wykonania własnych celów. Osadzenie akcji w suchej, kamienistej pustyni, gdzie nie było na czym „oprzeć oka", wyostrzało uwagę widza na suspens i na filozoficzno-społeczne przesłanie. Problem był niejako „wypreparowany" z otaczającego nas świata, ale — paradoksalne — właśnie dlatego tym bliższy, tym bardziej ludzki. Dodajmy doskonałą grę całego zespołu aktorskiego z Ivesem Montandem oraz Charlesem Vanelem, niezapomnianym ex-gangsterem „panem Jo".

„Cena strachu" Henri Clouzota była dziełem reprezentatywnym dla francuskiego kina i dla francuskiej myśli początku lat pięćdziesiątych. W ćwierć wieku później przyprawiono ten temat na sposób amerykański.

William Friedkin, wyrosły z telewizji i dokumentu, jest u nas znany przede wszystkim ze swego wielkiego sukcesu fabularnego — „Francuskiego łącznika". Sukces tego gangsterśko-policyjnego obrazu powiększył wkrótce potem na Zachodzące o „Egzorcystę", thriller z pogranicza parapsychologii. Sięgając wreszcie po „Cenę strachu", chciał pewnie Friedkin połączyć swoje dotychczasowe doświadczenia w różnych gatunkach filmowych, chciał też dodać do klasycznego tematu coś nowego, własnego, od siebie.

Uwspółcześniając Clouzota, nadał filmowej opowieści mocny akcent polityczny: umiejscowił ją w którymś z dyktatorskich państewek Ameryki Południowej, w parnych dżunglach, wśród oszalałej przyrody, gdzie przemykają grupy uzbrojonych mężczyzn, przypominających jakby partyzantów Che Guevary. Z tym wszystkim musi dać sobie radę grupa śmiałków przewożących śmiercionośny ładunek. A są jeszcze zdarzenia niemal nadprzyrodzone, straszące pod koniec filmu głównego bohatera, który choć powoli, lecz konsekwentnie zmierza do bardzo gorzkiego wprawdzie, ale przecież — happy andu.

Odpowiednikiem postaci stworzonej u Clouzota przez Ivesa Montanda jest w filmie Friedkina dobrze znany nam ze „Szczęk" Roy Scheider. Niestety, nie wysilił się tutaj zbytnio w swoim aktorstwie; jakby dla kontrastu — William Friedkin usiłował wysilić się, z fatalnym skutkiem, w „nowej interpretacji" Clouzota. Film jest, moim zdaniem, zrobiony z ciągotami do efekciarstwa, przy pewnych pozorach — płytki, a co najgorsze: nudny. Szkoda, że go w ogóle sprowadzono. U nas na ekranach można było po prostu wznowić stare dzieło Clouzota.

M. D.

Listy do „Kameny"

W SPRAWIE ALKOHOLIZMU

Różnie to w naszej historii bywało. Rządziła szlachta, każdy pan brat miał prawo głosu i chciał decydować o przyszłości Kraju. Ba, miał nawet prawo sprzeciwić się wszystkim; liberum veto stało się rzeczą świętą. Ale szlachta była różna, byli szaraczkowie, byli i magnaci. I to właśnie ci możni decydowali. Spotykał się np. Radziwiłł z panem Koniecpolskim i postanawiali, co i jak ma stanąć i jak się ma odbywać. Narady odbywały się w zacisznej komnacie, jadł się obiad, a paziowie pilnowali spokoju.

Nie wszystkim się to podobało i nie wszystkim wychodziło to na zdrowie. Pomagali nam sąsiedzi, żeby zmniejszyć nasze kłopoty, rozbierali nas po kawałku. Powstania, zrywy wolnościowe, tragedie narodowe i nastał czas, że nie zaczęli brać władzę w swoje ręce. Ale znowu zaczęło dziać się źle, niektórzy z ludu zaczęli na gwałt szukać swoich przodków szlacheczków, budować już nie dwory, ale jakieś tam marne domki myśliwskie, czy też narażali swoje życie, pływając jacoliami po podmiejskich morzach. Ich kobiety, pozorowane równouprawnienia, spędzały czas w kuszmarnym lenistwie. Zaczęło się to nie podobać tym, którzy w ranoszym zapale pomagali i budowali drugą Polskę. Strzelano, bito, nic nie pomogło — powstała „Solidarność". Zapał, zaangażowanie, współodpowiedzialność — to sprawy są dzisiaj naszym chlebem codziennym.

Informator Biuletynu „Solidarność" z 14.03.1981 r. podaje: „Lech Wałęsa rozmawiał z premierem Wojciechem Jaruzelskim w czterey oczy dwie godziny dwadzieścia pięć minut. Ot i co? Ano to, że sprawy wyższe mamy z głowy i że możemy zająć się problemami maluczkich.

A taki problem maluczkich, ale wcale niemały, to alkoholizm. Żeby wyjść z propozycją, a nie wyjść w ciemno, przeprowadziłem wśród znajomych coś w rodzaju sondażu na temat: czy jesteś za wprowadzeniem systemu kartkowego na alkohol? Pytałem 100 osób — 98 było ZA. Odpowiedzi były prawie zgodne może i dlatego, że żyjemy w erze kartkowej. Gdyby uzasadniono to ekonomicznie i gdyby miało to poprawić sytuację w Kraju, zgodzilibyśmy się, żeby nawet sznurowadła były na przydział. Społeczeństwo jest uświadomione, zaczyna czuć się współgospodarzem Kraju i jest gotowe ponosić ofiary.

Lecz jest jedno, „ale", które może doprowadzić do biologicznego wyniszczenia narodu. Jesteśmy bardzo żywotni, był Oświęcim, Majdanek i tysiące innych kaźni, i podnieśliśmy się z tego, zataczając się jednak z przewracając pijanymi oczami. Pije się wszędzie i w każdym środowisku, złożyło się na to wiele przyczyn, rozgoryczenie społeczne, brak zainteresowań, upadek kryteriów moralnych.

Można próbować to wszystko odwrócić i to zaczynamy robić. Jest to zajęcie na lata, a może nawet na dziesięciolecia. Podnoszenie cen alkoholu nic w tym nie zmieni, albo zmieni o tyle, że państwo będzie miało większe dochody. Państwo to my wszyscy i nie powinno nam zależeć, aby poprzez wyniszczenie stawać się bogatszymi.

Jesteśmy na tym etapie alkoholizmu, że nie pomoże izba wytrzeźwień, tu trzeba zastosować leczenie odwykowe. Takim leczeniem może stać się przydział kartkowy czystego alkoholu — powiedzmy w ilości 6 litrów rocznie na każdego pracującego w Polsce. Emeryci, renciści — jako, że ludzie starsi lub chorzy — np. 3 litry. Automatycznie stawiamy poza zasięgiem alkoholu młodzież. Mamy rozwiązany problem melin. Zmniejsza się ilość wypadków drogowych, ulice o zmroku stają się bezpieczne. Tysiące milicjantów — zaangażowanych w zwalczaniu rozbojów, bandytyzmu, zaangażowanych w walkę ze skutkami picia alkoholu — staje się bezrobotnymi. Ano właśnie, czy rzeczywiście będą oni bezrobotni? Nie! Skierujemy ich do tępienia nielegalnego wytwarzania alkoholu.

Jesteśmy narodem pomysłowym, cukru nie ma, za co się wziąć, to wszystkiego brakuje, ale na pewno coś tam wymyślimy, z czego można pędzić bimber. I tu zadanie dla milicjanta. Szukać i pilnować trzeźwości społeczeństwa. Powie ktoś, że wtedy opłaci się ponieść każdą karę, ale będzie można zarobić. Zwiększyć kary, zwiększyć wyroki. Co, nie można? Że to nieludzkie? Że wbrew prawu? Ustawy o Związkach nie było, a opublikowano Uchwałę o strajkach, więc i to można zrobić.

Polska nie USA, tam prohibicja upadła, bo był Al Capone, ale gdzie amerykańskiemu policjantowi do naszego milicjanta albo jeszcze do ORMOwca! Władza da radę i niech wreszcie pokaże, że może dać czemuś radę.

Są to propozycje, które wymagają dopracowania i ogólnospołecznej dyskusji. Jeżeli zgodzi się większość na system kartkowy, to jest szansa na jego wprowadzenie. Nikt nie będzie śmiał się sprzeciwić naszej woli. Niech więc wypowiedzą się specjaliści od zwalczania alkoholizmu, tym ludziom opadają już ręce. Może wreszcie się dowiemy, jakie są zyski ze sprzedaży i jakie straty. Te straty to ofiary śmiertelne, to nieprzepracowane dniówki, to degeneracja narodu. Pijanemu można mówić, że czarne to białe lub odwrotnie. Czyżby komuś na tym zależało? Chcemy dziś uwierzyć, że i Rządowi zależy na trzeźwym partnerze.

Produkujemy i eksportujemy alkohol, niech upijają się bankierzy (może będą bardziej skłonni do nowych kredytów dla nas). Spłacajmy długi czysta, może ich wykończymy.

Statut „Solidarności" (par. 6 p. 1, 4 i par. 7 p. 7) nakłada na członków Związku obowiązek walki z alkoholizmem.

A może tak referendum w sprawie zwalczania pijaństwa i alkoholizmu?

Bolesław Ćwikla

P. S. Mówią, że „kropla drąży skałę"; drukuje „Kamena" mnie, drukuje rzecznika prasowego MKZ, kol. W. Samolińskiego. Może by tak spróbować na spokojnie uzyskać ten dostęp do prasy? A może zrewanżować się prasie i dopuścić ją na nasze zebrania i obrady?

19.03.1981 r.

Pismo Lubelskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Założyciele Kazimierz Andrzej Jaworski i Zenon Waśniewski.

Redaguje zespół: Maria Bechczyc-Rudnicka, Marek Adam Jaworski (redaktor naczelny), Zygmunt Mankowski, Maciej Podgórski (sekretarz redakcji), członkowie Kolegium Redakcyjnego oraz Anna Bocian, Mirosław Derecki, Tadeusz Jasiński, Ireneusz J. Kamiński (kierownik działu publicystycznego), Henryk Pająk (kierownik działu literackiego), Waldemar Stępień (fotoreporter). Redaktor techniczny — Ewa Dybek, korektor — Marianna Obłoza.

Informacji o warunkach prenumeraty udzielają Oddziały RSW „Prasa — Książka — Ruch" i urzędy pocztowe. Cena prenumeraty rocznej — 78 zł. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę przyjmuje RSW „Prasa — Książka — Ruch", Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw, ul. Towarowa 28, 00-958 Warszawa, konto NBP XV Oddział w Warszawie nr 1153-201045-139-11; prenumerata ta jest droższa od prenumeraty krajowej o 50 proc. dla zleceniodawców indywidualnych i o 100 proc. dla zleceniodawczych instytucji i zakładów pracy.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych i zastrzega sobie skróty. W sprawach literackich przyjmuje interesantów kierownik działu w poniedziałki w godz. 10—12 i piątki w godz. 14—15.

Wydawca: Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza RSW „Prasa — Książka — Ruch" Lubelskie Wydawnictwo Prasowe w Lublinie ul. Jasna 6, tel. 253-30.

Druk: Lubelskie Zakłady Graficzne im. PKWN w Lublinie ul. Unicka 4. PL ISSN 0137-7108. Nr indeksu 36751. Adres redakcji: 20-029 Lublin, ul. Skłodowskiej 2/4.

Telefony: sekretariat, redaktor naczelny 255-93, sekretarz redakcji 218-93, dział publicystyki i literacki 275-35.

Korespondencję zwykłą prosimy kierować pod adresem: 20-950 Lublin 1, skrytka pocztowa 231; polecane i ekspresowe — pod adresem redakcji.

N-1